Nr. 37. Warszawa, dnia 29 Sierpnia (10 Września) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym Abonentom przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty.

POLITYKA.

Brzytwa Henry'ego.

Nowy minister wojny, Cavaignac, odpowiadał d. 7 lipca r. b. na interpelacyę Castelina: co rząd zamyśla zrobić dla uspokojenia narodu, wzburzonego agitacyą o Dreyfusa? Minister odpowiedział, że gotów jest nawet nadzwyczajnymi środkami przywrócić poszanowanie dla armii. Osobiście ma on absolutną pewność winy skazanego. Oświadczenie to poparł trzema dokumentami, odczytanymi zaraz w Izbie: dwa pierwsze pochodziły z r. 1894 (d. 1 marca i 16 kwietnia), daty trzeciego minister nie wskazał; nie wymienił też autora dokumentów, wyszłych od jednej i tej samej osoby, ale opinia, pamiętająca jeszcze proces Dreyfusa, wstawiła na miejsce niezapełnione przez Cavaignac'a nazwisko *attaché* wojskowego ambasady niemieckiej w r. 1894, Schwarzkoppena: listy nosiły jego nazwisko. Miał jeszcze rzecznik rządu czwarty dokument w zanadrzu, ale pisany przez osobę tak wysoko stojącą, że go odczytać publicznie „nie mógł." Osobą tą miał być cesarz Wilhelm; jego imię już podczas procesu Dreyfusa w listopadzie i grudniu 1894 r. wyglądało z łamów dziennikarstwa francuskiego.

D. 9 lipca pułkownik Picquart publicznie zobowiązał się dowieść, że dwa pierwsze dokumenty nie dotyczą Dreyfusa, a trzeci jest sfałszowanym. Między tak jawnie przeczącym a sztabem generalnym, na punkcie nieomylności swej niewzruszonym, zawrzała walka, która skończyła się uwięzieniem Picquarta i wytoczenie mu procesu kryminalnego wojskowego. Jednocześnie dochodziły do ministra z różnych stron wskazówki prawdziwości twierdzenia postawionego przez pułkownika. W sierpniu nakazał Cavaignac zbadanie całego *dossier* wraz ze zbiorem dokumentów, tak tych, na mocy których skazano Dreyfusa, jak i przybyłych później, a winę potwierdzających. Badanie wykryło fakt fałszerstwa. Biuro wywiadowcze min. wojny, które przechowuje przeszło tysiąc listów dowodzących szpiegostwa, znajdowało się pod zarządem pułkownika Henry. Bez jego woli i wiedzy nikt do archiwum dostać się nie mógł; ale on sam mógł bez wiedzy i woli ministra i bliższych przełożonych swoich wszystko, coby chciał, do akt przez siebie wybranych dołączyć. Henry wybrał akta Dreyfusa, i do nich włożył, już w r. 1896, ów właśnie trzeci dokument, odczytany przez Cavaignaca w Izbie, najciężej skazańca obwiniający. Zrobił go z dwóch listów Schwarzkoppena, sklejonych w jedną całość. Fałszerstwo było uderzające. Minister zawezwał niegodziwca, przeprowadził badanie przy świadkach i wydobył z niego przyznanie się do przestępstwa. Stało się to d. 30 sierpnia.

Henry, bezzwłocznie uwięziony, poszedł na Mont-Valérien jako więzień sprawiedliwości wojskowej. Nazajutrz, w godzinie obiadowej, do celi jego wszedł jakiś oficer, niewiadomy z nazwiska, jakoby jeden z prowadzących badanie potajemnie, a w godzinę po jego wyjściu straż więzienna dostrzegła w kałuży krwi już zastygłej leżące ciało Henry'ego. Przestępca brzytwą gardło sobie poderznął. Ponieważ brzytwy tej przynieść z sobą do więzienia nie mógł, otrzymał ją zatem już w więzieniu — najbliższy domysł, że od owego oficera, który go odwiedził. Oczywiście, oficer mógł działać jako przyjaciel chroniący od hańby, a raczej od całego jej materyalnego aparatu, bo hańba sama w sobie już przed brzytwą była w całej okazałości; ale mógł też działać i jako pełnomocnik bądź jednej osoby, bądź wielu, już nie o honor łotra, ale o swój własny drżących. Fałszerz dokumentów, który nie umiał sfałszować własnych zeznań, własnej fizyognomii — nie dawał rękojmi milczenia, jakiego bądź jedna osoba, bądź całe grono, cała banda gwałtownie potrzebować dla siebie mogła. Domniemanie to jest tak logicznem, tak żywiołowem, że tylko wyrok sądu mógłby je obalić, a właśnie o oddaniu sprawy samobójstwa na drogę sądową do d. 6 września mowy nawet nie było. Oczywiście, nie obala domniemania podanie się tego samego dnia, kiedy Henry uciekał ze świata, gen. Boisdeffre, naczelnika sztabu generalnego, zwierzchnika samobójcy, do dymisyi: ono raczej mogło je tylko wzmocnić. Chęć ucieczki objawili również i dwaj inni dygnitarze sztabowi: Gonse i Pellieux. Wiatr się odwrócił: opinia przeciwko Henry'emu zawiała i przeciwko całemu sztabowi. Strach ogarnął odważnych, pałaszom i patryotyzmem pobrzękujących świadków w procesie Zoli. Każdy miał duszę na ramieniu.

Cavaignac pozwolił uciec Boisdeffre'owi, ale dwu innych zatrzymał. W dwa dni po samobójstwie, kiedy wypadki wytężyć nakazywały wszystkie siły, aby, raz nareszcie znalazłszy wyłom w ciemności i przez nie prześwitujące światełko, dojść do czystości, porządku i prawdy, energiczny minister z d. 7 lipca, nieubłagany zwierzchnik z d. 30 sierpnia sam pomyślał o ucieczce. Dnia 3 b. m. zażądał dymisyi od Brissona, powtarzając swoje wynurzenie lipcowe: mam absolutną pe-

wność winy Dreyfusa. Tylko brakiem charakteru wytłomaczyć sobie można to nagłe usunięcie się człowieka, który nie miał nawet elementarnej żądzy dokończenia tego, co zaczął. Rewizya procesu Dreyfusa, od której powinien był rząd francuski zacząć, a którą teraz prawdopodobnie zakończyć będzie musiał całą epopeję drejfusowską, w niczem nie sprzeciwiała się owej absolutnej pewności, bo właśnie absolutna pewność z niej tylko wyniknąć mogła i jeżeli kto, to Cavaignac, powinien był jej zażądać, a on przeciwnie, gdy koledzy jego chcieli, oświadczył, że nie chce. Nie chce — czego? Chyba przeczuwa, że rewizya wykryłaby fakta tak straszliwie obciążające tego lub owego z ludzi mu bliskich, a politycznie drogich, i może nawet obciążające cały sztab francuski, że brzemienia tych odkryć nie zniosłyby wątłe siły byłego ministra. Czy nowy minister, gen. Zurlinden, poprzednio gubernator Paryża, odważy się wziąć miotłę i wymieść tę, co najmniej, Augiaszową, stajnię?

Tydzień polityczny. Bieżącą sprawą francuską jest znowu skazanie Dreyfusa i rola Henry'ego, naczelnika biura wywiadowczego w min. wojny, jako fałszerza dokumentów. O niej w artykule wstępnym, a z powodu niej o zepsuciu Francyi głos *Posła Prawdy*. Następcą Boisdeffre'a został gen. Renaud, następcą Cavaignaca—gen. Zurlinden. Większość ministrów przechyla się ku rewizyi procesu z d. 31 grudnia 1894 r. Sarrien, min. sprawiedliwości, zażądał już od min. wojny protokółu przyznania się Henry'ego. Sama procedura domaga się rewizyi (art. 443). Postanowienia jeszcze niema. Żona Dreyfusa wniosła do Sarriena formalne żądanie. Opinia publiczna gwałtownie z północy zwróciła się na południe: w rewizyi również widzi jedyne wyjście. Logika nigdy nie widziała innego.

Anglicy pod wodzą Kitchenera po 5-godzinnej walce d. 2 b. m. zdobyli stolicę kalifa-mahdiego, Omdurman w Sudanie. Wojska jego, zwane „Derwiszami," dzielnie nacierały, ku zdumieniu samych zwycięzców. Ogień zmógł męstwo; nacierający padali całemi setkami: bez machiny zabójczej niema już teraz płodnego męztwa. Straty muzułmanów dochodzą do 5 tys., w boju mogło ich być około 30 tys. Anglików i Sudańczyków współwalczących zginęło kilkuset.

Po naradach w Peszcie w przedostatnim tygodniu sierpnia naradzali się ministrowie austryaccy z węgierskimi w Wiedniu z udziałem samego cesarza. Porozumienia nie osiągnięto, a to nietylko pod względem formalnym, ale i pod materyalnym: nie zgodzono się ani na postać prawa wcielającego wolę ugodową, ani na samą treść ugody, mianowicie na kwotę. Stronnictwo ultra-narodowe na Węgrzech trwa w zamiarze urządzenia odrębnego obszaru cłowego w przewidywaniu niemożliwości normalnie-konstytucyjnego porozumienia się z Przedlitawią; ministrowie nakładają na struny tłumiki, ale ostatecznie może uledz będą musieli, jeśli sejm, który po odroczeniu zebrał się d. 5 b. m. — namiętnie w struny uderzy. *N. fr. Presse* namawia go do tego, aby grozą rząd złamać, oderwać od Słowian i Niemcom wydać panowanie. Cesarz, po powrocie z manewrów; w drugiej połowie b. m. będzie musiał sam coś postanowić, zanim się zbierze zwołana na 26 b. m. Rada państwa: ze Słowianami czy z Niemcami? z konstytucyą, czy z § 14? z Węgrami, czy bez nich? z Thunem wreszcie, czy z kimś od niego — szczęśliwszym? Położenie ciężkie.

D. 31 sierpnia dobiegła do pełnoletności królowa Wilhelmina Niderlandzka, ur. w r. 1880, córka Wilhelma III, zm. w r. 1890, ostatnia odrośl domu Orańskiego. W Amsterdamie odbyły się w pierwszych dniach września uroczystości przypominające koronacyę.

Kortezy madryckie d. 5 b. m. na żałobny kondukt potęgi hiszpańskiej wezwane, na zagajenie otrzymały — preliminarya z d. 12 sierpnia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ORGANIZACYA LEKARSKA.

Autor „Listów petersburskich" w poprzednim numerze *Prawdy* nakreślił bardzo ponury obraz warunków zdrowotnych wielomilionowej ludności wiejskiej. Gdy zajrzymy głębiej do naszych stosunków, znajdziemy niemal to samo. Sprawa polepszenia zdrowia powszechnego należy do najpilniejszych i najdotkliwszych oddawna. Szczególnie zaś daje się ona mocno odczuwać od chwili przejścia przez nasze wsie, osady i miasteczka epidemii cholerycznej. Ona to właśnie ujawniła wszystkie największe braki organizacyi lekarskiej, wszelkie pogwałcenia najelementarniejszych zasad hygieny, zupełną niezaradność i bierność całego ogółu wobec najstraszniejszej klęski. Nieszczęście, które spadło na nasz kraj pod postacią cholery, miało przynajmniej tę dobrą stronę, że odsłoniło całą grozę położenia, całe niedołęztwo i wadliwość systemów ratunkowych. Dzięki temu, opracowano kilka projektów szerszej i właściwszej organizacyi lekarskiej i stworzono Towarzystwo hygieniczne. Zapowiada to pomyślniejszy okres walki z chorobami i warunkami antizdrowotnymi, jakkolwiek dotychczas zabiegi to nie przekroczyły jeszcze sfery teoretycznej.

Wszakże ani Towarzystwo hygieniczne, ani pomoc lekarska według ustaw gub. Piotrkowskiej i Płockiej nic nie zdziałają, a przynajmniej działalność ich przy największej energii mało będzie owocną, dopóki nie dadzą się usunąć rdzenne przyczyny złego, dopóki odpowiedni grunt do działalności zorganizowanej nie będzie przygotowany.

Przyjrzyjmy się, chociaż pobieżnie, stosunkom panującym obecnie w niektórych okolicach kraju, a będziemy mieli możność wskazania zasadniczych sposobów walki. Dr. Głogowski w sierpniowym zeszycie *Zdrowia* dał szkic takich warunków w gub. Lubelskiej:

„Przeciętnie na 100 chorych radzi się lekarza zaledwie jeden, a felczera (tyleż co znachorów) po 30; reszta cierpi, zdając się na wolę bożą.

Janina Baudouin de Courtenay.

ISMAEL

(Kontur psychologiczny).

VIII.

Po wyjściu z więzienia wszystkie miejscowe redakcye znalazłem zamknięte przed sobą. Nie miałem ani grosza. Ogłosiłem więc, że poszukuję guwernerki z cenionym tu więcej niż gdziekolwiek językiem angielskim — i oto otrzymałem zaproszenie do pobliskiego miasta portowego, do domu jednego z głośnych finansistów miejscowych. Uczepiłem się tego skwapliwie. Nie mogłem znosić już więcej pierwszego pola prób moich, a próby te mnożyła bezwarunkowo nadzwyczajna wrażliwość i podejrzliwość moja. Za było co już gotów byłem miecz wydobywać z pochwy. Pomimo jednak najwyższego podbudzenia nerwów, zrozumiałem, że grozi mi choroba psychiczna, jeśli nie zmienię trybu życia. Dwadzieścia i cztery lata, przeżyte w atmosferze pieszczot i łatwych tryumfów towarzyskich, szacunku i służalstwa warstw niższych, nie mogły mię przygotować do teraźniejszych doświadczeń, nie mogły mię tak oswoić z warunkami życia, jak mych cywilizowanych i niecywilizowanych współbraci. Burzyłem się więc, cierpiałem i chorowałem moralnie, a nawet fizycznie.

Przyjmując posadę w domu milionera-greka, miałem nadzieję udać się za grosz w nim zarobiony za granicę, by uspokoić się i wyleczyć w cichych murach jakiegoś uniwersytetu. Nie wiem, czy było to oszukiwanie samego siebie, lecz tak wydała mi się ponętną nadzieja w spokoju, w ciszy wywalczyć na tej drodze uznanie, wpływ i powagę.. a może, może praca moja, głos mój, zaważy z czasem i na tej szali, o którą chodziło mi przedewszystkiem. Wyjechałem tedy na nową posadę.

Po kilku miesiącach bytności w domu finansisty moc woli mojej i hart mych nerwów na nowo poddać się musiały próbie... i znów jej nie wytrzymały.

Podczas pewnej uroczystości domowej, licznie zebrane towarzystwo wyszło do parku, zwisającego tarasami nad morzem, aby się przyjrzeć widokowi rozpoczynającej się właśnie burzy. Stałom już to oddawna, rozmawiając i paląc papierosa z parą młodymi mężczyznami, dosyć uparcie szukającymi obcowania ze mną, jedynie tylko dla pewnej doskonałości mojej w sporcie, którego ja niegdyś, oni zaś obecnie zwolennikami byli.

Zapamiętałem mimowoli groźny ten obraz nadmorski, gdyż był on dekoracyą do własnej mej tragicznej pantominy... Morze mocno już było zorane potężnym pługiem północnego wichru. Na niebie ciężko się fałdowały masywne draperye chmur, jakby utkane z czarnego aksamitu o granatowo-stalowych połyskach. Wypukłe czarno-płowe bałwany o białych kędzierzawych runach uderzały ze zgrzytem w twarde, stromo wzniesione wybrzeże; w oddali zdawało się, że całe stada lewiatanów splatały w dzikiej bitwie błyszczące a śliskie grzbiety napół smocze, napół rybie — i gryzły się białymi wyszczerzonymi zębami... U stóp naszych miotała się i skowyczała na łańcuchu piękna łódź żaglowa, używana przez nas często do morskich spacerów. Na tle ponurem otoczenia dziwnie zdrobniałymi i wydelikaconymi kształtami odbijało się rozbawione, jasnoszatne grono kobiet; z pod koronkowych zarzutek, któremi kokieteryjnie osłaniały się od wiatru — ukazywały się ich twarze i szyje jakby filigranowe, jakby z miniatur wyjęte. Na tem tle wycia i zgrzytu — sopranowy szczebiot kobiecy i flirtujące dźwięki męzkich głosów brzmiały jak piski karłów przy basach tytanów.

W strojnej tej grupie pań wyróżniała się ładna, wysoka dziewczyna, córka potężnego wspólnika mego chlebodawcy, królującą niewątpliwie na raucie. Gdy mię jej przedstawiono, z kolei spojrzała na mnie z uwagą i jakby zaciekawianiem i powiedziała z lekkim naciskiem w głosie, chociaż głos ten umyślnie był przyciszony,

— Mam przyjemność oddawna znać pana ze słyszenia. Nasz wspólny znajomy;

A oto wypadki, w jakich ludność wiejska wzywa pomocy lekarskiej:

1) Są to porody nieprawidłowe (3-go lub 4-go dnia), które w tych warunkach fatalnych rzadko kiedy mogą zjednać uznanie dla doktora i jego sztuki, najczęściej utrwalają pojęcie, że jak Pan Bóg dopuści złe, a baba albo felczer nie odpędzi, to i doktór nie pomoże.

2) To samo w złamaniach kości i zwichnięciach nienastawionych na razie i zaniedbanych. Zwyczajnie nastawia je i składa *kostopraw*, który mieszka w tej lub owej wsi; mówią o nim: *ten co wie*; dopiero w razach niepomyślnych ma poprawiać felczer, a jak i temu się nie uda, a chory cierpi coraz gorzej, wzywają pomocy lekarskiej, która znowu już wówczas często bywa spóźnioną.

3) Choroby chroniczne wogóle w stadyach nieuleczalnych.

Nakoniec dodajmy wspomnienia, przerażające ludność wiejską ze strasznych epidemij, w których pomimo ratunku doktora, przysłanego przez władzę, ludzie ginęli jak muchy, a będzie nam łatwo wyjaśnić sobie niewiarę w potęgę sztuki lekarskiej, a stąd i obojętność dla lekarza."

Dr. G., dosadnie opisując warunki kontraktowe lekarza gminnego, sposób ich zrywania tudzież brak wszelkiej pomocy prawnej, administracyjnej i społecznej—wykazuje tymi przykładami z jednej strony brak pojęcia o potrzebie pomocy lekarskiej, z drugiej— brak dbałości władz administracyjnych o jej utrzymanie, zaczynając od wójta gminnego aż do naczelnika powiatu, łącznie z referentem tych spraw, lekarzem powiatu i inspektorem urzędu gubernialnego. To są oczywiście szkopuły ważne w rozwoju prawidłowej i skutecznej pomocy lekarskiej. Niewiele również robią w tej mierze wszelkie instytucye z charakterem zdrowotno-społecznym. Dr. Głogowski czyni ciężki zarzut Towarzystwu lekarskiemu w Lublinie, które na mocy swej ustawy (normalnej) miało się zajmować hygieną społeczną. Ale oto, co widzimy:

„Przez lat 26 istnienia jego żadnych z zadań wymienionych w pierwszych pozycyach ustawy jako to: „zbadanie gubernii pod względem sanitarnym oraz ułożenia medycznej topografii i sanitarnej mapy" dotąd nie załatwiono; zresztą władza tego nie żądała, nie ułatwiła — Towarzystwo bez zawezwania nie działa i nie może naprzykład oceniać materyałów statystycznych, których mu nikt nie dostarczył, a które powinien posiadać urząd lekarski. Towarzystwo samo rezydując w Lublinie, materyałów z prowincyi nie zbiera — nie ma do tego agentów, a raczej funduszów na ich ciągłe opłacanie.

Dalej w ustawie Towarzystwa osobną pozycyę stanowi: pomoc w upowszechnieniu prawidłowego szczepienia ospy.

Towarzystwo zajęło się istotnie szczepieniem ospy ochronnej i założyło instytut produkcyi krowianki, który nie doznał jednak poparcia materyalnego ani u władzy, ani u ludzi zamożnych w społeczeństwie. Towarzystwo nie miało prawa zachęcać gorliwego wykonawcę w tej mierze, dr. Olechnowicza, do ponoszenia dalszych osobistych wydatków — i po trzech latach instytut zamknięto."

„Doświadczenie to raz jeszcze wyraźnie dowodzi, że przy wiedzy, nauce i najlepszych chęciach, przy umiejętnem działaniu konieczne jest jeszcze odpowiednie uposażenie, opieka władzy i całego społeczeństwa."

Otóż, jak słusznie zaznacza autor, lubelskie Towarzystwo lekarskie na mocy ustawy powinno wytworzyć z łona swego komitet sanitarny, który w porozumieniu z władzą mógłby przyjąć na siebie system prewencyjny w gubernii.

„Obowiązek hygienisty spełniać może lekarz dobrze obeznany z miejscowymi warunkami, poczynając od gruntu, a kończąc na ludziach, patrząc na ich skórę, odzież, na ich zwyczaje, wiedząc jak się bawią i jak ciężko biedują, jak pracują i jak się żywią, czy nadużywają wódki i t. p."

Ażeby zapobiedz złemu, a przynajmniej złagodzić je, dr. G. proponuje następujące środki:

„Pierwszem polem działalności hygienisty niech będzie szkoła. Zawsze, a tem bardziej na początku uważać się on ma za lekarza przy szkółkach wiejskich i gminnych."

Hygienista jako delegat Towarzystwa lekarskiego z urzędu swego powinien być członkiem czynnym tworzyć się mających komitetów wstrzemięźliwości.

W komitecie wstrzemięźliwości hygieniście przyznaną być ma rola ważna, znacząca; jednakże będzie on tam tylko jednym z członków równouprawnionych, rzeczy świadomym; przeważną zaś rolę objąć ma w komitecie sanitarnym gminy, gdzie przewodniczyć i działać winien bez przerwy. Dotąd komitety takie powstawały zwykle w czasie istniejącej już epidemii (i to nie innej jak cholery) bez żadnego pojęcia nadanej instrukcyi.

Komitet sanitarny winien postarać się o wprowadzenie łaźni dla ludu.

Przy budynku łaźni mógłby być i punkt opatrunkowy, materyały do opatrunku, drobna apteczka z niezbędnych środków pod dozorem wykwalifikowanej babki — było nie felczera; dla niego w całem urządzeniu tego projektu miejsca niema.

Specyalnej opiece hygienisty polecić należy urlopowanych żołnierzy, aby z nimi nie przychodziła choroba syfilityczna

---

wielki pianista C., mówił mi dużo o ukochanym synu hrabiny R..

„Historya" zaczyna być głośną! — pomyślałem z niesmakiem, odpowiadając jej z najgrzeczniejszą sztywnością:

— Pani, jestem prawie pewny, że tu zachodzi jakieś nieporozumienie. Nie przypominam sobie, bym kiedy spotykał syna hrabiny R., a gdyby nawet tak było, nie miałbym żadnego powodu odnowić tej znajomości...

Zmieszanie i cień obrazy przemknął w jej ładnych i śmiałych oczach.

— Przepraszam, wiem, że to jest tajemnica i milczeć o niej potrafię — odrzuciła mi ciszej, kiedym się skłonił przed nią, odchodząc.

— „Tajemnica!" za romantyczne i za stare słowo na nasze czasy — powiedziałem, opuszczając ją z głębokim ukłonem.

Kląłem w duchu pewnego artystę, zresztą prawdziwie niepospolitego, dość częstego gościa w salonie mej matki, który spotkawszy mię przypadkowo w owem nienawistnem mieście przed kilku miesiącami po głośnej awanturze w rodakcyi — podziwiał „marzycielstwo" moje i „niepotrzebny heroizm." Wybadał wszystko bardzo szybko i dokuczał mi radami, abym wracał do „swego" świata. Prosiłem, żeby milczał, ale widocznie na nic to się nie zdało.

Burza tymczasem gwałtownie się wzmagała.

— Sądzę, że żaden Odyseusz nie podołałby takiej Scylli i Charybdzie, jakie pląsają teraz na naszym Euksynie — odezwała się do kogoś znowu uśmiechnięta i królująca strażniczka mej tajemnicy, tuż w mojem sąsiedztwie.

— Odyseusz może by się nie zdobył na tyle zapału dla swej staruszki-Penelopy, czekającej nań lat dwadzieścia — odparł żartobliwie jeden z młodych gości — ale jakiś rozmiłowany Leander dla swojej Hero może by się odważył zmierzyć z niemi swe siły, przynajmniej na przestrzeni od brzegu do latarni morskiej...

— No, jak na nowożytnego Leandra, zwłaszcza przy takim „zefirku," to nie mało! — powiedział ktoś z otaczających.

— A jednak to możliwe!

— Przy spokojniejszej pogodzie, być może. Ale w każdym razie dałby temu radę chyba jaki specyalista konkursowy. A przy tej fali?!

— Puścił by się i przy tej fali Amerykanin lub Anglik, gdyby chodziło o gruby zakład pieniężny. Zginąłby prawdopodobnie, z czego zresztą cieszyliby się liczni wygrywający ziomkowie jego.

— Szukamy tak daleko odważnych sportsmenów, a mamy przecież w swojem gronie doskonałego specyalistę — odezwał się, zwracając się ku mnie jeden z młodych ludzi, który najwcześniej przyszli tu wraz ze mną.

Wiele spojrzeń utkwiło w mojej twarzy i widziałem, jak zapalały się w nich stopniowo ironiczne błyski.

Wyraźnie drwiący uśmiech spostrzegłem na ustach jednego ze złotych młodzieńców, i to złotych podwójnie — bo trybowi jego życia odpowiadała milionowa kieszeń, a po chwili usłyszałem i jego słowa.

— Byłem właśnie świeżo w Paryżu świadkiem pewnego zakładu sportowego, i to ryzykownego, a więc bardzo grubego pomiędzy dwoma członkami naszego cercle, który skończył się jednak niespodzianie komicznie, dzięki rasowej odwadze jednego z uczestników. Nie potrzebuję państwu mówić, że ów jegomość, aczkolwiek pozornie *pur sang* paryżanin, miał w swoich żyłach błękitną krew... biblijną...

Jak niewolniczy automat, popchnięty mocną dłonią, już mu odpowiadałem z pozornym chłodem, a jednak płonąc wewnętrznie i, jak dziś widzę, wyrywając się całkiem niepotrzebnie z pod władzy myśli i rozsądku.

— Chociaż nie wątpię, że Paryż wzbogacił znacznie doświadczenie życiowe szanownego pana, to jednak chciałbym dorzucić do niego cegiełkę ze swej strony... Pomimo to, że w żyłach moich cieche również „błękitna krew biblijna," wsiadam właśnie do łódki, czy też wpław nawet się puszczam. Eksperyment mój będzie zresztą o wiele mniej dla państwa interesującym, bo ani grubego zakładu, ani uścisku żadnej bulwarowej Hero o miedzianych włosach — nie mam w perspektywie.

Słowa te wypierała z ust moich jakaś nerwowa zła siła, pomimo iż wymawiając

Wogóle, zapobieganie powinno zawsze być na pierwszym planie czynności lekarza gminnego, w powyższem pojęciu.

Podobnie jak w Warszawie, lekarz gminny musiałby również wypisywać karty pogrzebowe dla proboszcza, upoważniające go do pogrzebu. Nie byłoby wolno grzebać nikogo bez takiej karty.

Dochodzenie sądowe byłoby w ten sposób ułatwione i znacznie prędsze, gdyż sędzia śledczy miałby eksperta w każdej gminie, a działalność lekarza miałaby wartość naukową, którą mogłoby pochlubić się Towarzystwo, mianowicie, dałaby prawdziwą statystykę śmiertelności, a następnie i chorób.

Co się tyczy szpitali, to niepodobna wymagać, aby każda gmina posiadała własny, ale każda winna posiadać środki do przenoszenia, względnie przewożenia chorych, aby do odpowiedniego lokalu w samej gminie przenosić można było uległych wypadkom i ciężko chorych, albo odwozić chorych do najbliższego szpitala.

Zarzuty i wskazówki dr. Głogowskiego mają najzupełniejszą podstawę. Wogóle dałyby się one zastosować do działalności lekarsko-hygienicznej w całym kraju. Mamy kilka towarzystw lekarskich, które, korzystając ze swojej ustawy, mogłyby rozwinąć szeroko pracę w zakresie zdrowotno-społecznym. Tymczasem dotąd nie dostrzegliśmy najmniejszej inicyatywy w tej mierze. Instytucye poważne, złożone wyłącznie z ludzi wykształconych, światłych, poświęcających swe siły i uzdolnienia ogółowi ludności, a z natury rzeczy wnikających w głębię potrzeb i niedomagań rzesz całych — instytucye te stanęły niemal zupełnie po za obrębem społeczeństwa, odgrodziły się od niego murem specyalności i wyżłobiły sobie wązkie ścieżki potrzeb i spraw osobistych. Dlatego też siła umysłowa i wysoki stopień wykształcenia, pomimo zorganizowania fachowego, nie pozwala tym ludziom zwalczyć ciemnoty i szalbierstwa znachorów i felczerów, którzy nietylko umieją podkopać zaufanie ciemnej i naiwnej ludności do lekarza, lecz nawet wypchnąć go ze stanowiska, pozbawić wszelkiej możności obrony i dochodzenia praw swoich. Wprawdzie widzimy tu i owdzie lekarzy, uczestniczących w pracy społecznej; ale to jest działalność dorywcza, która ani zespala ich z ogółem, ani zaspakaja tego ogromu potrzeb w zakresie hygieny powszechnej. Chcąc walczyć z niezdrowiem ogólnem, trzeba przygotować przedewszystkiem grunt odpowiedni, że tak powiemy, wejść w społeczeństwo i pracować wespół z jego światlejszą cząstką. Lekarz nie może być tylko fachowcem, musi on być pedagogiem i instruktorem hygienicznym. Dopiero wtedy, gdy się stanie takim działaczem na polu dobra społecznego, gdy zajmie placówki we wszystkich dziedzinach, mających związek z duchowem i fizycznem wzmocnieniem mas ludności — dopiero wtedy wyrobi sobie mocne stanowisko i rozwinie pracę prawdziwie owocną. Dopóki takiego gruntu nie przygotujemy, wszelkie zabiegi i organizacye czysto administracyjne, zewnętrzne, nie doprowadzą do celu. Przedewszystkiem tedy niech towarzystwa lekarskie wprowadzą w życie wykreślone z niego a pozostawione w ustawie paragrafy najponętniejszej i najpożyteczniejszej działalności. Przyjdzie to dziś tem łatwiej, gdy mamy ustawę organizacyi typowo społecznej: Towarzystwa hygienicznego.

Z GALICYI.

Apatyczne zachowanie się Galicyi wobec stanu wyjątkowego. — Próba protestu. — Deputacya i hr. Piniński. — Zawieszenie sądów przysięgłych. — Prawdopodobne powody. — Rusini i ich prośba do cesarza. — Węgrzy wobec zamieszania w Austryi. — Nowe nadzieje.

Czytelnikom *Prawdy* wiadomo, że w połowie Galicyi, od Krakowa po Lwów, panuje „stan wyjątkowy,“ zaprowadzony z powodu rozruchów antisemickich. Dotychczas w sprawach ważniejszych wyrokowały umyślnie ustanowione sądy, a w sprawach mniejszej wagi — sądy przysięgłych. Aresztowano mnóstwo osób, wyłącznie włościan, których wina podpadała pod kategoryę nie spisku, nie zbrodni politycznej, lecz najzwyklejszej awantury. Mimo zupełnego braku dostatecznych powodów do tak surowych zarządzeń, wbrew wszelkiej potrzebie — zaprowadzono je w Galicyi, bo — jest to rzeczą niewątpliwą — życzyło sobie tego stronnictwo rządzące dla własnego bezpieczeństwa na dziś i jutro. Ochraniało się w ten sposób od tych, którym w ciągu trzydziestolet nich rządów zrobiło wiele złego. Społeczeństwo przyjęło tę wiadomość obojętnie, bo apatya jest największą i najcięższą chorobą Galicyi. Po za rządem była szlachta i urzędnicy — biorąc ostatnią nazwę w najszerszem znaczeniu. Szlachta stała po stronie rządu, który z jej łona powstał, a urzędnicy — to ludzie często bez ducha obywatelskiego, chociaż Polacy, zwykli przeżuwacze okólników i reskryptów, z jednaką gorliwością służyliby nawet cesarzowi chińskiemu — byleby im regularnie wypłacał pensye. Pod tym względem jednakie cechy posiadają polityczni, jak i autonomiczni. Pojedyncze głosy, odzywające się z potępieniem, były bardzo nieliczne.

Nie wiem, komu przyszła szczęśliwa myśl zaprotestować przeciwko samowoli rządu, gwałcącej konstytucyę, ażeby bodaj dać poznać wiedeńskim jego filarom,

---

je nawet, kombinowałem przelotnie, jak mało cenię siebie i swe zadanie, broniąc w ten sposób żydowskiego honoru. Lecz była to jakaś moc żywiołowa i dzika, której stawałem się ofiarą.

Zimny ukłon był mi odpowiedzią i sztywna uwaga tego pana, że przez myśl mu nie przeszło stosować opowiadania swego do jakiegokolwiekbądź z członków zebranego tu towarzystwa.

Tymczasem zaledwie padły z ust moich te nieszczęśliwe wyrazy, a już rozbrzmiała dokoła delikatna, jakby przytłumiona wrzawa zaciekawienia i niespodziewanego efektu. Oczy zabłysły, ożywiając się raptem, młode kobiece twarze zarumieniły się ogromnie, tak jak one może w amfiteatrach cyrkowych, gdy ukazywał się nagle interesujący gladyator. Jeżeli tam pójdzie... co za szczególne widowisko! Jeżeli zaś nie stanie mu odwagi — jakiż to przykry zawód! Jakież pole do naigrawania się z chełpliwego a tchórzliwego Żyda!

Mózg mój świdrować poczęła dziwnie dręcząca i smutna myśl, że uczyniłem krok fałszywy, że własną godność zdeptałem tylko, zamiast podnieść godność naszą zbiorową... Po co, dla kogo mam igrać z życiem, tracić je, nawet z pewnością? Dla pikantnej zabawy tłumu, głodnego, jak zawsze, circenses! Dla przekonania paru złych głupców, którzy pomimo to może twierdzić zaczną z uporem osłów, że jestem wyjątkiem lub mieszańcem.

I oto po raz pierwszy w miejsce bojującego rozdrażnienia i uporczywej zaciekłości jakiejś — żal, wielki żal nad sobą rozpostarł się w duszy mojej... żal nad tą bezustanku już teraz gnębioną, a niegdyś tak bezgranicznie rozkoszującą się młodością moją... Pożałowałem kaleczonego niemiłosiernie młodego, bujnego życia... Lecz pochwyciłem siebie natychmiast na uczynku, a więc i ja, Żyd lękliwy, zląkłem się wczesnej, pełnej męki śmierci w paszczach tych czarnych lewiatanów?..

Potoczyłem okiem dokoła po tych twarzach, twarzach przeważnie kobiecych, czy też choć jedna nie zaprotestuje przeciwko temu „widowisku,“ słowem chociażby jednem, a nawet tylko wzrokiem? Czy nie wyrwie się z piersi, którejkolwiek z tych istot wołanie:

— Nie chcę, nie mogę patrzeć na niewątpliwe samobójstwo! Ale nic. Usta milczały, oczy, pełne gorączkowej ciekawości, mówiły, rozkazywały.. Tak! one śmiały i mogły mi już rozkazywać w tej chwili:

— Pędźże do tej otchłani po śmierć twoją! Obiecałeś! Nie darujemy ci tego!

Strach przed ich sądem przeważał jednak strach śmierci. I oto wezwawszy całą wolę i męztwo, na jakie tylko zdobyć się mogłem, zdołałem ubrać twarz w maskę obojętności i zapytałem z ironią:

— Czy płynąć mam jak Odyseusz w łodzi żaglowej — na dystans większy, czy też jak Leander, wpław — na mniejszej przestrzeni?

Podzielono się na partye.

— Żagiel! żagiel! wpław! wpław! — wołały „srebrne“ głosiki, a uroczym ich dźwiękom towarzyszyły gdzieniegdzie tupnięcia drobnych stopek...

Mężczyźni byli przeważnie za łodzią, rozumiejąc, że w przeciwnym razie widowisko byłoby za krótkie i za nikłe... Odrazu traci się z oczu zuchwalca.

Przerwałem niecierpliwie spór, który już trwał za długo.

— Radzę państwu wybierać żagiel. Wszak lepiej widać będzie statek o dużym białym żaglu, tonący wraz z człowiekiem, niż małego człowieczka, niknącego natychmiast pośród bałwanów, chociażby nawet utonął nie odrazu.

— Utonął, pan powiada?! — zaprotestowały niby naiwnie zdziwione głosy. O, w takim razie cały ten projekt inaczej się przedstawiał. Sądziliśmy, że pan pływasz tak świetnie i tak świetnie żaglem kierujesz — nie możesz utonąć! — Zapewne, że jest to odwaga, ale też sztukę posiadasz pan niełada! Czyżbyśmy mogli narażać pana, nie będąc przekonanymi, że zwyciężysz?

— Dziękuję za uznanie i za troskliwość! — odparłem z otwartą już drwiną i poszedłem przebrać się i przygotować, jak mi się wówczas zdawało — do pewnej śmierci.

(C. d. n.).

że jest przecie ktoś w Galicyi, kto doniosłość rozmaitych „wyjątkowości“ rozumie i w obronie uciskanych stanąć może. Inna jest wina tych, którzy brali udział w rozruchach, a inna — rządu. Nie chodzi o to, ażeby winnych rozgrzeszyć ze wszystkiego, ale żeby tym panom z Wiednia wyjaśnić, że co innego karanie przestępstw, a co innego łamanie praw. Otóż stronnictwo ludowe i klub demokratyczny sejmowy połączyły się razem w tym celu. Postanowiono wspólnie i jednogłośnie żądać zniesienia stanu wyjątkowego. Uchwały tego rodzaju tam, gdzie rządzi przemoc, nie mają innego znaczenia, tylko zasadnicze. To też większą daleko doniosłość dla Galicyi posiadła tu chwilowe bodaj połączenie się dwóch odłamów, dwóch ramion jednego kierunku, niż wszelkie protesty. Może panowie młodzi przekonają się, że monopol dobry tylko dla gorzałki i tytoniu, lecz nie dla myśli. Zapewne, trudno będzie przyznać się do tego, ale fakty także mowią i tego dosyć. Tworzenie związków politycznych na podstawie znajomości i przyjaźni osobistej nie może mieć nigdy wielkiego znaczenia, jest także „wyjątkowością“ nader szkodliwą dla rozwoju pewnych idei, tem bardziej, gdy ten rozwój może się obejść bez tajemnicy. Zasklepienie się w własnych stosunkach — grzech zarówno demokratów, jak i ludowców — wytwarza fałszywe wielkości, posiadające mało co więcej przymiotów nad zarozumiałość, lub wysuwa na czoło ludzi za pomocą „serków“ koleżeńskich. Z tak sztucznie wytworzonemi figurami nikt się nie liczy, a stańczycy tem bardziej, bo oni znają doskonale doniosłość zasady: siła w jedności. Dlatego też zgromadzenie w ratuszu lwowskim więcej ich zaniepokoiło, niż najgwałtowniejsze gadania rozmaitych przedstawicieli. Udali, że celu tej wspólnej akcyi nie rozumieją, że ją lekceważą — zbywali ją półsłówkami. Mniejsza o to.

Pomijam obrady i ostateczną rezolucyę a przechodzę do dalszych następstw. Wybrana z łona obradujących deputacya — sposobem przyjacielskim udała się do namiestnika. P. Piniński, prawnik z zawodu, dał odpowiedź adwokacką: „pragnie — on — i dąży, ażeby trwanie zarządzeń wyjątkowych nie wyszło po za konieczną potrzebę,“ nie dodał tylko, że o tej „koniecznej potrzebie“ on sam decyduje. Według jego informacyi „umysły są jeszcze wzburzone,“ ale nie mówi, że rząd austryacki dwoistością swego postępowania, chciwością i drapieztwem podatkowem, bezwzględnością ekonomiczną, sam przyczynił się do „wzburzenia umysłów.“ Stan wyjątkowy zatem potrzebny jest nie w interesie tej lub owej strony, lecz w interesie rządu niemieckiego i jego przedstawicieli galicyjskich. Chybaby się stosunki zmieniły nagle ku lepszemu w całej Austryi, albo zaszła jakaś radykalna zmiana w poglądach sfer rządzących, ażeby stan wyjątkowy zniesiony został rychło. I to może być. Żyjemy w państwie niespodzianek.

W związku z tem jest krok p. namiestnika, który da się również wytłomaczyć w sposób bardzo krętacki: jest to zawieszenie przez niego sądów przysięgłych w powiatach objętych stanem wyjątkowym. Dlaczego to się stało? Jakie być mogą następstwa? Wiadomo, że zwykle sądy przysięgłych bywały łagodniejsze w swoich wyrokach tam, gdzie szło nie o literę prawa, lecz o sprawiedliwość, gdyż powodowały się sumieniem. To samo działo się i w Galicyi. Wyroki w sprawie tych zbrodniarzy, którym uprzykrzył się wszelki wyzysk, wypadały bardzo łagodnie. Poprostu podciągano wybryki nie pod kategoryę buntów, lecz swawoli godnej kary. A tymczasem panowie krakowscy i ich poplecznicy sprowadzili nawet kata z Wiednia, którego tu i owdzie pokazano. Rozruchy ustały. Nie dlatego, że ustała przyczyna, która je wywołała, lecz dlatego, że wojsko miało broń i używało jej, a włościanie szli z gołemi rękami. Porządek nareszcie przywrócono. Rozpoczęło się szukanie winnych. Ani rusz znaleźć spisku, a tem bardziej kierowników! Wskazywano po kolei Stapińskiego, Kozakiewicza, Daszyńskiego — ale dowodów nie było. Krytykowali oni wprawdzie rząd, władzę, szlachtę, ale przestępców takich znalazłoby się pewnie ze dwa miliony w samej Galicyi. Ponieważ spiskowców nie można było wyszukać za pośrednictwem sądów przysięgłych, kto wie, czy nie nasunęła się wówczas wątpliwość prawdziwości wyroków. A ponieważ koniecznie trzeba kogoś karać — bo na cóż wprowadzono stan wyjątkowy! — zatem oddać wszystkie sprawy do sądów państwowych, a przysięgłe zawiesić. Czy te domysły są jednak prawdziwe? Nie wiem. Prawdopodobno, bo w duchu polityki panów krakowskich. O to ich stronnictwo uczciwych ludzi obwinia. P. Piniński dał wszakże inną na to odpowiedź. Zawieszenie sądów przysięgłych miało się stać ku większej sprawiedliwości. Są powiaty — powiadają — gdzie w składzie sędziów jest większość Żydów, tam każdy oskarżony chłop będzie skazany; w innych powiatach — większość chrześcian, tam każdy winowajca będzie uwolniony. Sądy państwowe będą, według mniemania namiestnika, sprawiedliwsze. Zobaczymy. W każdym razie takie postawienie kwestyi jest także trochę adwokackie.

Z ogólnego zamieszania w kraju, z osłabienia rządu austryackiego, z utraty wpływowego stanowiska politycznego Polaków w Wiedniu skorzystali Rusini galicyjscy. Podali oni skargę do cesarza austryackiego na Polaków i prośbę o własne królestwo. Wyliczywszy więc rozmaite krzywdy, proszą pokornie monarchę, ażeby dla nich stworzył osobne państwo: wydzielił Galicyę wschodnią jako odrębny kraj, dał im odrębną radę szkolną, odrębne sądownictwo, utworzył seminaryum w Wiedniu, ażeby stamtąd wychodzili sami patentowani władyki i wiele innych równie pięknych rzeczy.

Otóż gdy w Galicyi trwa walka wszystkich ze wszystkimi, to samo dzieje się w stosunkach licznych krajów i narodów Austryi do rządu wiedeńskiego. Nie będę mówił o sporze Słowian z Niemcami, o równouprawnieniu językowem w Czechach, o rządach bez rządu, słówko tylko powiem z powodu najważniejszej dziś kwestyi polityki wewnętrznej: ugody z Węgrami. Wiadomo, że w Austryi panuje ustrój dualistyczny, a ostatnimi czasy zaznaczyło się z nadzwyczajną siłą dążenie do federalizmu na zasadzie samorządu krajów. Dążenie takie przedewszystkiem nie podoba się Niemcom austryackim, którzy, przyzwyczajeni do panowania, znajdą się nagle w położeniu bardzo nieprzyjemnem — nie będą mieli kim rządzić, gdyż Słowianie powiadają: doroślismy i potrafimy sami sobie dać radę. W równiej niemiłem położeniu są i Węgrzy. Jeżeli kiedy Słowianie, zgromadzeni pod koroną św. Stefana, utworzą odrębne organizmy autonomiczne, świat przekona się, że z dużego obszaru Węgier pozostało trochę baronów niepewnego pochodzenia etnicznego i garstka Żydów, przebranych w czamary węgierskie. Węgrzy to najlepiej rozumieją i dlatego korzystają z osłabienia wewnętrznego Austryi, a ponieważ posiadają niewątpliwie najzdolniejszych polityków i spójność stronnictw tam, gdzie chodzi o najważniejsze interesy kraju, łatwo stać się może, że Austro Węgry zamienią się na Węgro-Austryę, czyli że na czele państwa staną nie Niemcy, lecz Węgrzy. Jeżeli sprawa uspokojenia się Austryi pójdzie tak dalej, jak dotychczas, przewaga ich w rządzie może się stać prawdopodobną. Wskazuje to świeżo wydana broszurka p. t. *Uj alakulos* (Nowa konstytucya), w której autor bez ogródek powiada, że teraźniejsze niepokoje w Austryi doprowadzić ją mogą do rozkładu, a wówczas Węgrzy, ze swoją dynastyą na czele, zajmą względem Austryi takie stanowisko, jakie przez długi czas Austrya zajmowała względem nich. Stronnictwa węgierskie powinny zawczasu liczyć się z tą możliwością i stosownie do niej zacieśnić program swojej działalności! Nieporozumień dyplomatycznych — według mniemania autora — niema czego obawiać się, gdyż taką zmianę w ustroju Austro-Węgier cała Europa przyjmie do wiadomości z zadowoleniem, a nawet Niemcy nie będą się sprzeciwiać.

Jeżeli to jest raca, wypuszczona na wypadek niedojścia do skutku ugody, to kto wie, co ona zapowiada już nietylko Austryi, ale Europie, bo jeżeli Niemcy nie będą sprzeciwiać się Węgrom, to tylko kosztem zdobyczy terytoryalnych. Smutnie mogłaby wyglądać ugoda w przekładzie na język węgierski.

W ostatniej chwili wszakże w ogólnem położeniu Austryi nastąpiła o tyle zmiana, że rząd w widokach możności przeprowadzenia ugody z Węgrami drogą legalną, postanowił zwołać jeszcze raz parlament na koniec września. Czy to na wiele się przyda — wątpić należy, bo przecież w Radzie państwa pozostaną te same czynniki niezadowolenia, które poprzednio działały i taki sam układ stronnictw. A może .. W Austryi wszystko możebne.

Cho.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Program Hansemanna. — Odpowiedź p. Mycielskiego. — Jakie odpowiedzi są dla nas pożądane? — Samowola urzędników pruskich i sąd administracyjny.

Dziś tylko ciągle się mówi o nowej petardzie, która wyleciała z ręki jednego z twórców hakatyzmu, Hansemanna, i pękła nad głowami polskiemi. Ten człowiek, nienawidzący do szaleństwa Polaków i wszystkiego, co tchnie duchem polskim, wystąpił z nowym programem, projektami zalewania nas spienioną falą germanizacyi. Sposobnością do tego wystąpienia była wizyta ministrów pruskich w Poznaniu i przedsięwzięcie środków niemczenia, które, zdaniem fanatyków pruskich, nie prowadzą do celu, bo nie występują wprost pod godłem maczugi lub noża zbójeckiego, lecz mając na celu podsycenie ognisk germańskich, jednocześnie mimowoli przyczyniają się do ogrzania miejscowych rzesz polskich. Stworzenie nowych zakładów naukowych w Poznaniu przyczyni się do podniesienia miasta, a więc i Polacy pośrednio mogą skorzystać z tego. Nie! Trzeba wynaleźć inne środki! Więc oto co mówi i doradza p. Hansemann na szpaltach *Posener Ztng*: „Pewien wyższy urzędnik poznański podobno powiedział: jeżeli rząd pozwoli wzejść słońcu nad Poznaniem, świecić ono będzie zawsze nad dwoma Polakami a jednym Niemcem. Wyrzeczenie to trafia istotnie w sam rdzeń. W ostatnich dziesiątkach lat nietylko w Poznaniu, ale i miastach prowincyonalnych, rozwój powszechny położył koniec dawnej przewadze ekonomicznej obywatelstwa niemieckiego. Stworzył on tak samo spożycie jak produkcyę ludności polskiej, a polskość uzdolnił do korzystania ze wszystkich dóbr ogólno-ekonomicznych. Wszel-

kie piękne zamiary podniesienia prowincyj polskich, pomnożenia dróg komunikacyjnych, otwierania akademij itd., zawsze jednocześnie podnosić będą ekonomicznie i duchowo zdolności Polaków i wzmacniać ich siłę do walki. W kołach stowarzyszenia naszego panuje zupełna jednomyślność co do zamierzonych środków rządowych; jeżeli zaś mają one przynieść wogóle jakikolwiek pożytek, uważać je należy za początek wielkiej polityki germanizacyjnej w szerokim stylu."

Jeżeli ma zyskać powodzenie owa polityka wzmacniająca niemczyznę wszelkimi środkami i sposobami, to, według wskazówek p. Hansemanna, trzeba raz na zawsze zerwać z zasadą równouprawnienia, która już nie jest przestrzegana w przedsięwzięciu kolonizacyjnem. Kto nie chce około państwa i dla państwa pracować, kto umyślnie się odsuwa i na to czeka, ażeby zmiana losu zwolniła go z pod znienawidzonego jarzma prusko-niemieckiego, ten sam się wraz ze swymi współobywatelami wyrzeka wszelkiego równouprawnienia. Państwo, które takich obywateli stawia na równi z resztą, wychowuje sobie nieprzyjaciół. Jeżeli od wielu lat na wszystkich granicach niemieckich obcy żywioł się wzmaga, wynika to jedynie stąd, że Prusy-Niemcy stworzyły zarówno dla przyjaciół, jak i nieprzyjaciół, wszystkie źródła dobrobytu i potęgi, pod wpływem państwa pozostające, bez względu na to, jak się ułożyły stosunki narodowe. W dzisiejszych stosunkach niepodobna myśleć o szczerym związku między prostą ideą państwową a polskim światem interesów, gdyż w większej części miast na kresach wschodnich pod względem zarobkowym korzystniej być Polakiem. „Dopiero zmiana tych stosunków zdoła wytworzyć między ludnością polską to usposobienie ugodowe, które niezbędne jest do wyrównania przeciwieństw narodowych. Takiego trwałego wyrównania życzy sobie każdy Niemiec na kresach wschodnich. Ale i tu przedewszystkiem ma znaczenie owo: *si vis pacem para bellum.*"

Przytoczyliśmy tych parę najcharakterystyczniejszych uwag z długich wywodów Hansemanna. Aż nadto wystarczy tego, ażeby ocenić cały cynizm, całą bezczelność, która chce nietylko rozbijać i łupić, lecz — jak największych zbrodniarzy — wykluczyć Polaków z pod wszelkich praw.

To samo pismo, które wydrukowało program p. Hansemanna, nie odmówiło miejsca i dla p. Józefa Mycielskiego z Kobylopola. Odpowiedź jego ze względu na doniosłość sprawy i scharakteryzowanie stosunków polsko-niemieckich, jest wypadkiem niezwykłym w bieżącej kronice życia naszego. Oto, co miedzy innemi w tej odprawie czytamy:

„Ktoś zupełnie obcy a bezstronny, po odczytaniu elaboratu p. Hansemanna, musiałby sobie powiedzieć: 1) Jeżeli jest prawdą, że żywioł polski na kresach wschodnich, pomimo wszelkich stawianych mu trudności, okazuje ekonomiczną przewagę nad popieranym ze wszech stron żywiołem niemieckim, może to być tylko dowodem, że jest dzielniejszym od niemieckiego. Wtedy zaś dobrze czyniłoby państwo, gdyby się opierało na żywiole znakomitszym. 2) W wieku żelaza i złota musi dziwnem się wydawać, co słyszymy, że potężny wojskowy i finansowy aparat Rzeszy niemieckiej jest politycznie zagrożony ze strony niezadowolonych poddanych, których liczba wynosi ledwie 2 procent. 3) Jeżeli Polakom niegdyś powiodło się pozyskać sobie niemieckich mieszkańców dzisiejszej dzielnicy zachodnio-pruskiej w ten sposób, że pozostali tam jeszcze Niemcy polonizują się nawet pod rządem pruskim, w Poznańskiem zaś po przeszło stuletniem przyłączeniu do Prus, nawet imigranci niemieccy narażeni są na niebezpieczeństwo polonizacyi, przeto możliwy jest tylko następujący wniosek: Z jednej strony, żywotność polonizmu jest silniejszą, z drugiej, rząd pruski nie dorósł swemu zadaniu, żeby kroczyć na czele kultury niemieckiej."

Do takich paradoksów prowadzi fałszywe założenie. Jakże wygląda sprawa w rzeczywistości?

Nawet zagorzali przeciwnicy polskości przyznają, iż rzekome ekonomicznie lepsze położenie Polaków na tem polega, że po pierwsze: Polacy są skromniejsi w używaniu dostatków życia, po drugie: znajomość dwu języków daje im korzyść ekonomiczną, po trzecie: ich uczucie narodowe wyraźniej się uwydatnia. Przeciwko temu nie można walczyć przez materyalne uciskanie polskości, lecz tylko przez moralne podniesienie niemieckości.

Cornelius, którego nikt nie posądzi o entuzyazm dla Polaków, mówiąc o rzekomych polskich dążeniach rewolucyjnych i mrzonkach, co do oderwania się od państwa pruskiego, dodał: „Kto zna kraj i ludzi z bliska, wie, że niema w tem ani odrobiny prawdy." Posłowie polscy w Berlinie podnosili to niezliczoną ilość razy, i poważna część prasy polskiej powtarza bezustannie, że Polacy pod berłem pruskiem uznają *status quo* i pod warunkiem, że ich narodowość będzie zastrzeżoną, chcą wiernie spełniać wszystkie obowiązki względem państwa. Jeżeli jest prawdą, co niedawno p. Tiedemann twierdził w swej przemowie do polskich landwerzystów, że zmarły książę Bismark nienawidził i prześladował tylko tych Polaków, którzy z zasady powstawali przeciwko państwu pruskiemu, wtedy mógłby był żelazny kanclerz spokojnie zaniechać swojej nienawiści, ponieważ niema wcale takich Polaków.

„Rząd pruski, jeżeli mu na tem zależało, żeby pozyskać sobie szczerą przychylność ludności polskiej, popełnił wielkie błędy. Pominąwszy, że zaraz z początku konfiskata dóbr koronnych i kościelnych i licznych posiadłości prywatnych, systematyczne wykluczanie Polaków ze wszystkich urzędów, środki Flottwela i Barensprunga, później walka kulturalna i w nowszym czasie wykluczenie języka ojczystego ze szkół, musiały jak najbardziej rozgoryczyć lud, fanatycznie przywiązany do swej gleby do swojej religii i do swego języka, głównym błędem rządu był niezręczny wybór urzędników przy zupełnie mylnej zasadzie, jaką zastosowano pod tym względem. Dopóki istnieć będzie system, polegający na przesiedlaniu za karę w Poznańskie, który dawniej powszechnie był używany i także teraz jeszcze często bywa zastosowywany, ludność musi mieć to uczucie, jakoby pruski urzędnik był człowiekiem mniej wartościowym. Już sam fakt, że wogóle istnieje przesiedlanie za karę do wschodnich prowincyj, wystarczy, żeby podkopać w ogóle powagę organów rządowych. U przyzwoitych Niemców ta metoda wzbudza oprócz tego przykre uczucie, które się objawia w pragnieniu jak najrychlejszego opuszczenia Księztwa. Że w ten sposób zwolna usuwa się z Księztwa lepszy żywioł niemiecki, aby go zastąpić mniej wartościowym, to jest logicznym wynikiem takiej taktyki. Właśnie owi ludzie mniej wartościowi pod względem moralnym wołają ustawicznie o pomoc policyi i o wsparcie rządowe, ponieważ im braknie siły moralnej, żeby mogli w uczciwych zapasach życia podnieść się przez własną dzielność. Dla nich ta heca narodowościowa jest warunkiem istnienia, ponieważ daje im chleb codzienny. Więc niechże będzie „ochrona niemczyzny na kresach wschodnich!"; ale nie wobec ubogich, uciśnionych i ubezwładnionych Polaków, lecz równa ochrona dla wszystkich ludzi przyzwoitych."

Jakkolwiek dużo w słowach p. Mycielskiego jest dyplomacyi, dużo, może zanadto dużo uznania dla „dobrodziejstwa" jakie wynika z „uporządkowanej administracyi," ze „sprawiedliwego" dotychczas sądownictwa, jakkolwiek autor ze zbyt wielką pewnością przemawia w imieniu całego społeczeństwa polskiego — jednakże głos ten, wypowiedziany *w organie niemieckim*, ma pewne znaczenie. Myliłby się jednak, ktoby wierzył, że wpłynie on na opinię i usposobienie hakatystów, a przynajmniej choćby na stłumienie ich cynizmu w projektach i programach. Rozumne i światłe odpowiedzi z naszej strony bardzo są pożądane, ale niech w tych odpowiedziach będzie więcej stanowczości i godności narodowej, niech będzie poczucie siły wewnętrznej i odporności na ucisk wszelkiego rodzaju.

Im więcej będzie drażnienia ze strony przemocnych, tem więcej zbudzi się owego poczucia. Przemoc zaś ta i drażnienie ujawnia się coraz bardziej na każdym kroku, a nadużycie władzy przez różnych piesków pruskich i tolerowania ich samowoli, to zjawiska codzienne. Oto jeden dokument świeży: Komisarz obwodowy z miasteczka Witkowa udzielił gnieźnieńskiemu Towarzystwu gimnastycznemu pozwolenie na urządzenie zabawy pod następującymi warunkami: 1) Zabrania się urządzenia pochodu publicznego tak wymarszu, jak i powrotu; 2) zabrania się noszenia kostiumów Towarzystwa gimnastycznego; 3) śpiewania pieśni polskich i grania melodyj polskich przez kapelę; 4) zabrania się wygłaszania polskich mów i przemówień; 5) noszenia chorągwi, szarf i kokard w innych, nie krajowych kolorach. Żadon z tych punktów nie ma najmniejszej podstawy prawnej. To też Towarzystwo zwróciło się ze skargą do sądu administracyjnego, który rozstrzygnie kwestyę.... za pół roku. Tymczasem zaś gimnastycy musieli ulodz samowoli urzędnika.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Narody młode i stare.

Swider Dreyfusowski znowu o kilka skrętów głębiej wwiercił się w pień Francyi. Wykryto, że jeden z głównych oskarżycieli skazańca był fałszerzem listu, którego wiarogodność zaprzysięgli generałowie w sądzie, który posłużył za główną podstawę do skazania Zoli w procesie o potwarz, który wreszcie natchnął ministrowi wojny, Cavaignacowi, piorunującą mowę przeciw „oszczercom sprawiedliwości i obrońcom zdrajcy," ogłoszoną plakatami we wszystkich gminach Francyi. Fałszerz poderznął sobie gardło, zasłużywszy na dozgonną wdzięczność wszystkich tych, którzy wraz z nim „ratowali honor sztabu generalnego." Ponieważ dowiedziono, że Dreyfuss został osądzony na mocy dowodu piśmiennego, którego mu nie pokazano, ponieważ główny świadek przeciw niemu i dostarczyciel „dokumentów" zdemaskował się jako oszust, ponieważ nieszczęsna sprawa pokutnika z wyspy Dyabelskiej od dwu lat dręczy i wichrzy kraj — w każdem rozumnem i uczciwem społeczeństwie pod-

danoby proces rewizyi, zarówno ze względów prawnych, jak praktycznych. Lepiej przecie nawet z chwilowym bólem przeciąć ten wrzód, niż zakażać nim krew i podtrzymywać ciągle gorączkę narodu. Tymczasem cały szereg ministeryów nie chciał dopuścić do tej operacyi, na którą nie może się również zdecydować ostatnie, pomimo odkrycia przed światem błota, w którem ugrzązł rząd wraz z wodzami armii. Skąd pochodzi ten upór? Miałażby Francya znajdować przyjemność w skandalach i posiadać przytępioną wrażliwość moralną?

Nie ulega to dla mnie żadnej wątpliwości. Od dwudziestu kilku lat wskazuję rozmaite znamienne objawy, dowodzące, że ona ciągle i szybko idzie do upadku. W jakąkolwiek dziedzinę jej życia spojrzymy, wszędzie dostrzeżemy znaki niemocy, starości, zwyrodnienia. Fizycznie są Francuzi wyczerpani. Ich bezpłodność i wygasanie usiłowano wytłomaczyć dobrowolną wstrzemięźliwością w celu skupiania majątków, rozdrabniających się przy licznem potomstwie. Nie przeczę, że taka dążność śród nich istnieje, ale trzeba być bardzo naiwnym i wierzyć w naiwnych, ażeby przypuścić, że podobna rachuba zdolna jest skrępować najsilniejszy z popędów ludzkich i najbardziej rozkiełznany właśnie tam, gdzie ma być najpowściągliwszym. Gdyby nawet zgodzić się na wpływ tej spekulacyi, udaremniłaby jej skutki sama niezliczona ilość kukułek, składających jajka w cudze gniazda rodzinne i niemających żadnego interesu w ograniczaniu ich piskląt. Fakt przedstawia się prościej i naturalniej: Francuzi nie mają wiele dzieci, bo ich mieć nie mogą, bo są fizyologicznie osłabieni. Wszystkie rasy, wszystkie narody, które wymierają, zaczynają swoje konanie od bezpłodności.

Pośrednie jej dowody znajdujemy w literaturze. Przypomnijmy sobie, ile za naszej pamięci przesunęło się we Francyi głośnych talentów i kierunków. Widzieliśmy Dumasa, Daudeta, Zolę, Richepina, Bourgeta itd., demi-mondyzm, naturalizm, dekadentyzm, fiin-de-sieclizm itd. Co ci wszyscy pisarze i co te wszystkie obozy głosiły? Rozmaite postacie stosunku samca z samicą. Nieraz zdawało się, że jakiś nowy prorok romansowy wyszedł z tego zaklętego kółka; wkrótce wszakże stare szydło wylazło z nowego worka. Daleki jestem od lekceważenia samców i samic nawet w rodzaju człowieczym; ale żeby po tylu wiekach cywilizacyi, pracy, różniczkowania się i rozszerzania życia, najważniejszym dla ludzkości oświeconej pozostał ten sam moment pożądania się ciał, co dla dzikiej, tego pojąć nie mogę. Zresztą dlaczegóż nigdzie indziej muzy nie otaczają ta ciągle roznamiętnionej pary, tylko w jednej Francyi, właśnie tam, gdzie ona jest bezpłodną? Dlaczego w odcinkach gazet paryskich wychodzą chętnie i bez wstydu czytane powieści lub artykuły, których nie odważyłby się drukować najzuchwalszy dziennik w żadnem innem społeczeństwie? To nie jest sprawą przypadku, lecz naród zmysłowo wycieńczony i stary potrzebuje od swej literatury silnych podrażnień. Musi ona dla niego wyrabiać narkotyki, ukazywać mu pobudzające obrazy, targać jego wątłe i znieczulone nerwy. Jakąż smutną rolę dudków grają społeczeństwa, które wraz z nami przypatrując się temu elektryzowaniu zdechlaków, odszukują w niem znamiona nowych objawień geniuszu, nowych postaci artyzmu, jego szkół i zwrotów! Francuzi piją nalewki kantarydowe, a ich bezmyślnym czcicielom zdaje się, że odmładzający nektar bogów. Dopiero gdy ten nektar zechcemy podać naszym czytelnikom, zaczynamy uczuwać wątpliwość i trwogę. Wtedy oczyszczamy go ze zbyt mocnych olejków i przedystylowany wlewamy w nasze książki i pisma peryodyczne. Prawie wszystkie powieści francuskie przechodzą w tłomaczeniu do naszej literatury odcedzone z lubieżnych domieszek. A gdybyście widzieli, czytelnicy, jak się odbywa to filtrowanie w redakcyach, jak biegli oceniają, czy można przepuścić drastyczną scenę lub wyrażenie — ogarnąłby was czasami śmiech, a czasami smutek. Nieraz bowiem utwór, pozbawiony w polskim przekładzie ostrej przyprawy, staje się mdłym, wodnistym, bezcelowym i zadawala smak tylko suggestyą sławy swego autora — w Paryżu. Jeśli tam go uznano za wyśmienity, to musi być doskonałym. Ale ludziska nie wiedzą, że on tam jest inny i służy do czego innego. Tam jest artystyczną używką, tu ma być jedynie dziełem sztuki.

Naród, który w historyi był niebotyczną górą, któremu z łona wydarł się wielki wulkan, który płomieniami tego wulkanu oświecał przez pół wieku cały obszar świata cywilizowanego, na którego szczytach gnieździły się orły i drzemały czujne pioruny, taki naród nie mógł się stać schroniskiem sępów i bandytów, gospodą szachrajów i otchłanią mroków bez przyczyny głębokiej, mianowicie bez utraty sił życiowych. Obszyty pawiemi piórami szumnych haseł, jest arlekinem postępu, nie jego wodzem, przy westalskim ogniu urządza najbezecniejsze orgie, pozwala sromotnym czynom policzkować najświętsze zasady, urąga wszystkiemu, co niedawno czcił i innych czcić uczył. Ten Paryż, który niedawno jeszcze ustami swego poety głosił, że jest sercem ludzkości, służy dziś za ściek jej szumowin. Wszystkie męty moralne, które gdzieindziej nie korzystałyby z pobłażliwości, spływają do niego. Każdy „rycerz przemysłu“ w wielkim stylu, każdy zuchwały gracz losu, każdy wyzyskiwacz złych instynktów tam zdobywa patent lub wawrzyny. Szachrajstwa panamskie, kupczenie legią honorową, przekupstwa poselskie, a obecnie bezprzykładny spisek łotrów przeciwko uczciwym ludziom, własnemu rządowi, godności narodu — nie są to objawy czasowego i miejscowego zepsucia, ale głębokiej choroby i wynaturzenia. Francya, która promieniowała ideami, dziś nie ma żadnej. Bo jaką? Czy może odebranie Alzacyi i Lotaryngii? Pusta groźba utuczonych tchórzów. Nigdzie nie przyjęto okólnika francuskiego o rozbrojeniu z wyraźniejszym przekąsem, niż w Paryżu. Prasa tamtejsza zawołała jednogłośnie: my nie potwierdzimy pokoju frankfurckiego, my musimy przed rozbrojeniem się załatwić nasze rachunki z Niemcami. Ciekawa rzecz, na co ci przyszli mściciele czekają i dokąd czekać będą? Wszakże prze 28 lat mieli czas przygotować swoją armię do odwetu, układ stosunków międzynarodowych jest możliwie najpomyślniejszy dla nich, więc czegóż im jeszcze potrzeba, ażeby upomnieć się o swoje straty? Czy przypuszczają, że im kiedyś Niemcy ofiarują sami na gwiazdkę Alzacyę i Lotaryngię? Czego im jeszcze potrzeba? Męztwa, zapału, mocnego życia, którego nie mają. Nie chciałbym wykreślić z liczby żyjących żadnego narodu; nie patrzyłbym z przyjemnością na usychanie żadnego konaru ludzkości, a tem mniej takiego, który dał jej tyle pięknych kwiatów i wspaniałych owoców, co Francuzi. Wolałbym chętnie: niech żyją! Ale zdaje mi się, że cały szczep romański próchnieje i że między jego gałęziami francuska zdradza najwyraźniej upadek żywotności.

Wogóle oceniając siły narodów, za mało zwracamy uwagi na ich stronę antropologiczną. A jednakże jest to pewnem, że jak osobniki, tak również całe społeczeństwa i rasy mają epoki wieku młodocianego i starości, zdrowia i osłabienia. Gdybyśmy o tem zawsze pamiętali, możebyśmy nieraz zrozumieli, dlaczego pewne narody, pomimo braku zasobów kulturalnych, wzrastają ciągle w potęgę, a inne pomimo bogactwa środków upadają. Z tego stanowiska sądząc, wydaje się wielce prawdopodobnem, że przyszłość należy do Słowian i Germanów, a nie do plemion romańskich.

Ile razy myślę o naszem społeczeństwie, nie cieszą mnie jego blaski i nie smucą cienie, ale w jednych i drugich szukam dowodu, czy one są znakami młodości, czy też starości. Zbyt trudne i zbyt ważne to pytanie, ażebym śmiał na nie stanowczo odpowiedzieć. To tylko przekonanie potwierdza mi się najczęściej, że nasz lud jest jeszcze młodym. Nie można tego dojrzeć w brudnej, ciemnej, biednej, półdzikiej masie, ale gdy jakaś jej cząstka w oświacie i dobrobycie wytopi z rudy czysty metal, daje pierwiastki pełne mocy i szlachetności.

Jedynie wiara w żywotność narodu wystrzela świtem dla każdego, kto spogląda w jego przyszłość; ona też tylko zdołałaby natchnąć patryotów francuskich nadzieją odrodzenia. Czy ono jest możliwem? Boję się przeczyć, ale wszyscy dobrze wiemy, że same dobre chęci nie uzdrowiły nikogo. Proces Dreyfusa można zrewidować i jego wyrok obalić, ale procesów i wyroków natury nikt nie poprawi i nie unieważni. Zresztą w narodach zamierają czasem tylko wierzchnie warstwy, które długo orał pług historyi i które w długiej kulturze wyjałowiły się, podczas gdy inne zachowały świeżość i płodność. Ale we Francyi wszystkie pokłady społeczne są oddawna pod uprawą dość równomierną.

A zatem nie zła gospodarka wojskowa generałów, nie liche plany i dotkliwe braki, nie wady i winy jednostek sprowadziły w r. 1870 klęskę Francuzów a zwycięztwo Niemców, lecz różnica ich wieku zdrowia, która już raz objawiła się przy starciu Cymbrów i Teutonów ze szczepem łacińskim przed dwudziestu wiekami. Podobnież te ropnie moralne, które tworzą się ustawicznie na ciele Francyi, nie są odosobnionemi, powierzchownemi zapaleniami jej skóry, lecz dowodem złego obiegu krwi w całym organizmie. Gdy szlachcic poznański z zupełną świadomością niecnoty swego czynu sprzedaje Niemcom ziemię, której chłop tamtejszy z rąk nie wypuszcza, czy dzieje się to dlatego, że pierwszy z nich jest osobnikiem samolubnym, a drugi społecznym? Nie, ale dlatego, że pierwszy należy do gałęzi spróchniałej, a drugi do zdrowej.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Jan Karłowicz: *Gwara kaszubska.* Odbitka z tomu XII *Wisły*. Warszawa, 1898.

Zapewne dziwi niejednego czytelnika, że uczeni lingwiści zajmują się jakąś gwarą kaszubską. Wniknąwszy atoli głębiej w przedmiot, przekonamy się, że to nie drobnostka, jakby się na pozór zdawało. Zjawiska fonetyczne i formalne owej gwary ważną w dziejach polszczyzny, tudzież w narzeczach tegoż języka, odgrywają rolę, lubo ostatnimi czasy ten odłam mowy naszej mianowano odrębnym językiem literackim, ochrzciwszy go nazwą pomorskiego.

Powód napisania rozprawy p. Karłowicza widnieje w własnych słowach autora: „Oprócz prac, wymienionych na str. 862 tomu XI *Wisły* — mówi on — przybywają nowe, dotyczące mowy kaszubskiej, mianowicie: 1) drugi zeszyt rozprawy G.

Bronischa, zawierający teksty kaszubskie p. t. „Kaschubische Dialectstudien, Texte in der Sprache der Beloce," Lipsk, 1898, str. 80, w 8-ce w.; 2) rozprawka Mikkoli o gwarach na północo-wschodzie Pomorza, w „Wiadomościach wydziału języka rosyjskiego Akademii petersb.," tom II (1897), str. 400—420 i wreszcie 3) w gramatykach słowiańskich pr. Florinskiego ustęp poświęcony kaszubszczyźnie. Nie mogąc obecnie referować o wszystkich wymienionych tutaj i poprzednio pracach, przestaję na krytyce artykułu prof. Baudouina de Courtenay, a rozpoczynam od niego dlatego, że poruszono w nim jest zagadnienie zasadnicze, od którego rozstrzygnienia zawisło stanowisko mowy kaszubskiej w szeregu języków słowiańskich."

P. B. de C., acz surowo krytykuje Ramulta, autora „Słownika kaszubskiego," jednakże w końcu przechyla się na jego stronę, przemawiając za odrębnością kaszubszczyzny od gwarnictwa polskiego. Oto jądro kwestyi. Zdaniem p. B., *z* (mieza)=polsk. *dz* (miedza), stanowi cechę kaszubszczyzny, na co się p. K. nie zgadza, przywodząc świadectwa pp. Bronischa i Parczewskiego, którzy, bawiąc na Kaszubach, słyszeli *dz*; gdyż *z* zam. *dz* pojawia się tylko w niektórych okolicach, np. koło Oliwy. Zresztą dźwięk *z*, w tem znaczeniu nierzadki jest w staropolszczyźnie i w wielu gwarach polskich. Bywa nawet i odwrotnie: *dz* zam. *z*, np. dźwirzątko (zwierzątko) itp. P. B. twierdzi, iż kaszubskie drédza (rdza) zam. rzekomego *rza* (r—za) jest naleciałością polszczyzny, co p. K. odpiera wyrazami ludowymi, jak: *drdza*, *drdzeń* (rdzeń), *dzdon* (zdun) i t. p. Formy kaszubskie *datk*, *matk*, *loko*, znane są w gwarnictwie polskiem. P. K. zarzuca p. B., że w wywodach swoich nie uwzględnia wpływu niemczyzny na samogłoskowość kaszubską i wyraża podziw, że p. B., mówiąc przed laty o skłonności polskiego *i* i *y* do *e*, pisze o „pomorskiem" *e*= polsk. *i*, *y*.

Tworzenie wyrazów zapomocą przyrostka *iszcze* zam. *isko* niezbce staropolszczyźnie, a *isko* w kaszubszczyźnie, zdaniem p. K., bynajmniej niezapożyczone z polskiego. Autor rozprawy „O języku staropolskim do XVI w." zapomina o formach *znaję* (znam), *pożegnaję* (pożegnam) i t. p., przypisując je wyłącznie kaszubskiemu. P. K. nie dowierza Ramultowi, jakoby były formy kaszubskie *szczesce* (szczęście), *szczescego* (szczęścia) itp., a twierdzenie p. B., jakoby zmiękczenie spółgłosek wcześniejszem było u Kaszubów, zbija odpowiednimi przykładami.

Przejście polskich *ć*, *dź*, *ś*, *ź* na kaszubskie *c*, *dz*, *s*, *z* tłomaczy p. K. wpływem niemieckiego. Grupa *tart* (wartki, karw itp.), znana w mowie ludu polskiego, nie stanowi wyłącznie cechy kaszubszczyzny. Odpowiadając p. K. na zarzuty, że raz gwarę tę do wielkopolskiej, to znowu do mazurskiej zalicza, utrzymuje, że w skład Wielkopolski wchodziło województwo pomorskie i cały obszar Mazur pruskich. O polskości Pomorzanów świadczy Nestor, Długosz i rokowania z Krzyżakami z r. 1464 („Prace filol.," IV, 935, ze „Script rerum Prus." V, 237). Oprócz tego za polskością kaszubszczyzny przemawiają: Szafarzyk, uczony rosyjski Preiss, prof. czeski dr. J. Poliwka i Jan Máchal, który nawet mowę połabską (Bodreców drewiańskich) do gwarnictwa polskiego zalicza.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Aleksander Kraushar: *Książę Repnin i Polska w pierwszem czteroleciu panowania Stanisława Augusta* (1764—1768). Tomów dwa.

„Prolog do pierwszego rozbioru Polski" — tak nazywa Kraushar konfederacyę radomską, zawiązaną w d. 23 czerwca 1767 r. pod laską Karola Stanisława Radziwiłła „Panie Kochanku," który tegoż roku w uniwersale z d. 6 lipca wypisał swe posiadłości i tytuły w porządku następującym: „Książę na Ołyce, Nieświeżu, Birżach, Dubinkach, Słucku, Kopylu, Czartorysku, Klecku i św. państwa Rzymskiego; hrabia na Mirze, Szydłowcu, Krożach, Kopysi, Kojdanowie, Zabłudowiu, Kiejdanach, Białym Kamieniu i Białej, a na Żółkwi, Złoczowie, Pomorzanach, Newlu, Siebieżu etc. pan i dziedzic; generalny konfederacyi stanów zgromadzonych marszałek; orderów Orła Białego i św. Huberta kawaler..." Za nim, w jego orszaku, akt konfederacyi podpisało do stu osiemdziesięciu rozmaitego stopnia dygnitarzy, jedni nader rozgłośnego w czasach późniejszych imienia, jak Józef na Pułasiu Pułaski, starosta warecki, pisarz w. koronny, drudzy wcale prawie przedtem ogółowi nieznani, jak Jan Nepomucen Kościuszko Siechnowicki, pisarz ziemski żytomirski, inni znowu dorażnie imponujący swojemi stanowiskami, jak Stanisław Bernard Gozdzki, wojewoda, generał ziem podlaskich lub „Franciscus Dzik à Kożuchowo Kożuchowski, pincerna caliss. et consiliaris."

Jakie były powody i widoki konfederacyi radomskiej? A jakie jej następstwa, jakie powodzenia? Z odpowiedzi na te pytania składa się kontradykcya jedyna w swoim rodzaju, chociaż prawdopodobnie w dziejach narodu polskiego nie najbardziej jaskrawa i krzycząca.

O pobudkach radomian Kraushar powiada, że obrona wolności staroszlacheckiej, wywieszona jako sztandar ruchu, była jedynie płaszczykiem, osłaniającym istotne dążenia sprzysiężonych. Celem ich było przedewszystkiem — strącenie z tronu Stanisława Augusta, względem którego instynktownie żywili podejrzenie o zdradę najświętszych interesów narodowych, o zaprzedanie się, dla widoków osobistych, doczesnych, sąsiedniemu, nieprzyjaźnie względem udzielności Rzeczpospolitej usposobionemu mocarstwu. Uprzedzenie to i niechęć ta, granicząca niemal z nienawiścią do osoby Poniatowskiego, podziśdzień — zdaniem autora — są w oczach dziejopisów epoki ówczesnej najcięższymi zarzutami, obarczającymi i potępiającymi konfederacyę radomską, jako szkopuł, o który się rozbiły projekty reformy państwowej, zamierzone przez stronnictwo Czartoryskich. W świetle nowych dokumentów, na których Kraushar głównie się opiera, punkt ten widzenia ulega niejakiej zmianie — o tyle mianowicie, że „uczucie niechęci do osoby nowoobranego króla, jednoczące radomian, uważać należy w znacznej mierze za usprawiedliwione..." Nie wiedzieli wprawdzie sprzysiężoni o wszystkiem tem, co my dziś wiedzieć możemy z papierów ogłoszonych urzędownie, ale prywatne i poufne ich informacye były uzasadnione aż nadto.

Skutki nietylko nie dopisały nadziejom lub rachubom konfederatów, lecz poniekąd, przeciwnie, wzmocniły i wsparły to, przeciwko czemu tak gorąco się oświadczali i występowali. Wytrącono im sztandar z ręki, poprowadzono tam, dokąd iść nie chcieli. „Splot fatalnego zbiegu okoliczności i fizyczna niemoc — tłomaczy autor — zatamowały... możność ratunku." Ludzie, których ideałem była nieograniczona staroszlachecka wolność i niezawisłość, ujrzawszy się w położeniu bez wyjścia, zabrnąwszy po uszy w kałuży sprzeczności środków użytych, z celem wytkniętym, „własnowolnie wprzęgli się w jarzmo zawisłości od sąsiadów i stali się w rezultacie narzędziem w rękach tych, z których pomocą spodziewali się byli wywalczyć cel upragniony."

Że w danej sprawie istotnie ujawniły się jednocześnie i współrzędnie dwie siły tak na pozór wzajem się wyłączające, jak fatalność i własnowolność, nie zdaje się to ulegać zaprzeczeniu. W okresie czasu między schyłkiem roku 1766 a pierwszymi miesiącami r. 1768, kiedy rozwijała się działalność konfederacyi radomskiej, zachodziły wypadki, które mogły były doszczętnie zniweczyć roboty dyplomacyi dworu petersburskiego i berlińskiego i przywrócić Rzeczpospolitej swobodę działania... Cóż jednak widzimy? Dla wydźwignięcia się z kłopotliwego położenia nikt inny nie dopomógł Rosyi i Prusom, tylko właśnie owa konfederacya. „Jej to przeważnie intrygom zawdzięczał pełnomocny poseł rosyjski, ks. Repnin, tryumf swej polityki bezwzględnej — i on, co jeszcze we wrześniu 1766 r. w doniesieniach swych do ministra Panina nie taił trudności swego zadania i wpadał w rozpacz („otczajanie"), mógł już w początkach r. 1768, w poczuciu zadowolonej ambicyi donieść swojemu powinowatemu i opiekunowi o owocach zwycięztwa odniesionego nad Polską skonfederowaną." Owoce te znamy z historyi elementarnej. Polegały one przedewszystkiem na nadmiernych prerogatywach, jakie Rosya otrzymywała w Polsce z mocy wniosków t. zw. Delegacyi Sejmowej, której skład, porządek obrad, genezę i przewód uchwał najszczegółowiej opisał Kraushar na podstawie źródeł, najzupełniej dotąd nieznanych, nadających pracy jego wartość i znaczenie pierwszorzędne. W samym sejmie (otwartym 2 października 1767) samowolne i gwałtowne postępowanie ks. Repnina wywołało wprawdzie wrzawę niezmierną, podniosło opozycyę tej samej maści co radomska do niebywałego natężenia; ale już było za późno. Ambasador rosyjski miał na swoje zawołanie 30,000 świeżo sprowadzonego wojska (oprócz kontyngensów dawniej ściągniętych), trzymał w jednej dłoni na powrozie rozmaitych „zobowiązań" część malkontentów radomskich, w drugiej — miał wszystkie atuty gry rządowej i dworskiej, z malowanym teraz królem na czele. Po dokonanym w nocy z 13-go na 14-ty października zamachu stanu, po uwięzieniu i wywiezieniu przywódców partyi krańcowo opozycyjnej katolickiej (biskupa krakowskiego Sołtyka, biskupa kijowskiego Załuskiego, hetmana polnego Rzewuskiego i jego syna Seweryna), sejm w d. 5 marca 1768 r. przyjął narzucone za pośrednictwem Delegacyi postanowienie księcia Repnina. Traktat, zawarty w następstwie tej sankcyi, oznaczył kardynalne prawa Polski i wraz z elekcyjnością tronu, jednomyślnością obrad sejmowych oddał je pod gwarancyę Rosyi, która zarazem, obok niejakiej rektyfikacyi granic, gwarantowała terytoryalną całość Rzeczpospolitej; z reform Czartoryskich utrzymała się jedynie komisya skarbowa; różnowiercom przyznano pewne swobody, dopuszczono ich do wszelkich godności, wreszcie w sprawie włościan zagrożono szlachcicowi karą śmierci za zabicie chłopa...

W traktatowej tej mieszaninie mogli

i radomianie doszukać się cząstki własnych aspiracyj, ale jakże dziwnie cząstka ta była pokrzyżowaną, zaszachowaną i spaczoną! Faktycznie, historya zna niemało tego gatunku wywichnięć, rozczarowań i zawodów; w przebiegu spraw ludzkich klęska równie często, częściej może nawet, niż powodzenie wieńczy wielkie i małe, wzniosłe i poziome przedsięwzięcia nasze. Ale, jeżeli się zważy, że sprzysiężenie radomskie główne swe zadanie—obalenie króla, obranego i popieranego przez Rosyę — oparło na hypotezie otrzymania łaskawej i wspaniałomyślnej pomocy od tejże Rosyi i że w samym akcie zawiązania konfederacyi generalnej znajdujemy takie np. zapewnienia: „deklaracya Najjaśniejszej Imperatorowej Imci, list Jej ministra i ekspozycya nietylko zupełnie dopiero (?) oświeca o wspaniałych zamysłach tej monarchini, ale też pociąga do należytej wdzięczności"—mimowolnie ulegamy wrażeniu czegoś w najwyższym stopniu oryginalnego, swojskiego, bez wzoru i bez przykładu w dziejach powszechnych...

Okoliczności, w jakich powstało i dopełniło się w drugiej połowie w. XVIII wielkie owo zaćmienie rozumu i sumienia publicznego, uwydatnione zostały u Kraushara nader zajmująco i plastycznie — zanadto plastycznie, zanadto drobiazgowo, z przeciążającą obfitością dowodów archiwalnych, przytaczanych zazwyczaj w wyjątkach i zestawieniach dosłownych. Nie wszędzie zbytkowny ten nakład zabiegliwości erudycyi przyjmie czytelnik sercem równie wdzięcznem. Są w dziele — nie przeczymy — epizody, są całostki monograficzne, które pomimo przedstawienia wyczerpującego do głębi materyał opisowy, nietylko zaspakajają pragnienie wiedzy, lecz poniekąd pragnienie to budzą, podniecają. Do takich oprócz pomienionych posiedzeń, oprócz Delegacyi sejmowej pod przewodnictwem prymasa Podoskiego (od str. 121 t. II) należą między innymi: układy z księciem Karolem Radziwiłłem (I, 178, 250 i dalsze); publiczna audyencya w d. 4 listopada 1766 r. i jego deklaracya w języku rosyjskim, którą odczytał, „siedząc na krześle, z nakrytą głową wobec króla, senatu i koła rycerskiego" (188—193); rozmowa Stanisława Augusta z Repninem w początkach lipca 1697 (273—279); pierwsze kroki konfederacyi radomskiej, skreślone głównie według notat jej sekretarza, Marcina Matuszewicza, osławionego pamiętnikarza (294—318 i dalsze); obraz monarchii w kraju przed sejmem 1767 (II, 4 i nast.); uroczysta audyencya posłów radomskich w Moskwie 1 października 1767 (40—55); dzień feralny (58—43); wrażenia zamachu październikowego w Moskwie (99—100). Przepyszne to sceny, doniosłe wypadki! Ale, co do reszty, co do ogółu wyświetleń i odkryć, osnutych na cytatach z dyplomatycznej korespondencyi Repnina, Panina, króla, dygnitarzy, Imperatorowej — wydobywa się z tego wszystkiego i zewsząd nas otacza jakaś miałka, sypka, nieznośna kurzawa przygód chaotycznych a monotonnych, która nas nuży, nęka, gniewa, niecierpliwi bez żadnej — zdawaćby się mogło — potrzeby i przyczyny, zwłaszcza gdy zawczasu i przedwstępnie wiemy, że z dwu ostatecznych rezultatów całej tej gmatwaniny gwarancya rosyjska w Polsce osiągniętą została *de jure* i *de facto* jeszcze za Piotra W., od daty traktatu warszawskiego z d. 30 stycznia 1717 r., zaś równouprawnienie różnowierców — herbowego znaku, oczywiście — poszło i pójść mogło wyłącznie na korzyść Prus, posiadających w zachodnich prowincyach Polski powien liczniejszy nieco zastęp szlachty dysydenckiej, bo co do dyzunitów, ulegających wpływowi rosyjskiemu, nie było wśród nich ani jednej znaczniejszej lub inteligentniejszej osobistości, na którą liczyć lub z którą porozumieć by się było można, jak to zresztą stanowczo zaznaczał Panin w swych raportach składanych Cesarzowej...

Bałamutność, czczość, nicość tylu usiłowań, tylu zabiegów, ostrzej i dotkliwiej zatną nas jeszcze po duszy, jeżeli sobie uprzytomnimy bezdeń rozpościerającej się pod niemi ciemnoty i niedoli stanów wydziedziczonych. Wobec ponure i nieruchomie w sobie zwartego i oniemiałego morza obojętności mas gminnych — morza zaledwie zlekka pienić się dopiero zaczynającego gdzieś na odmętnych zatokach kresowych, ukraińskich — czemże się wydać mogą odbywające się na jego powierzchni rewolucyjki i ewolucyjki oligarchiczne, strzelaniny i pukaniny konfederackie, zdrady i parady sejmikowe, marsze i kontrmarsze pułków opiekuńczych, przyjacielskich i sprzymierzonych? Ma to postać jakiejś fantasmagoryi napowietrznej, zarys czegoś podobnego do ścierania się przywidzeń nocnych z mgłami wichury sennej, majaczący odwzór walki żyjątek przedhistorycznych, wpadających żarłocznie w ślepą powódź nowych przeznaczeń... Czuł snadź i sam historyk unoszącą się z tego powodu nad swym przedmiotem zmorę zniechęcenia i niesmaku, skoro zaraz w przedmowie starał się ją zażegnać pociechą wyszukaną i—szczerze mówiąc, fikcyjną. Nikomu i niczemu w Polsce się nie wiodło — zaznacza on po kilkakroć — wszystko w rękach się rozłaziło i pełzło marnie, bo nie było siły; siły nie było, bo lud był martwy... Bądź co bądź jednak — dodaje — działo się z ludem i gorzej jeszcze — gdzieindziej. Oto jest zasłużony profesor i historyograf Katarzyny II, Bilbasow. Przeciwstawiając dolę i niedolę ludu rosyjskiego stosunkom wyznaniowym i społecznym Polski w. XVIII, powiada on: „Ciężki wiódł żywot Rosyanin w XVIII stuleciu, cięższy, niżli w stuleciach poprzednich. Przygwożdżony poddaństwem do gleby, wyjęty z pod opieki praw, oddany był na pastwę samowoli surowym i ciemnym władzom... Dziedzic upatrywał w *duszach*, któremi władał, źródło dochodu, kapral odzierał rekrutów ze skóry. Jedynym ratunkiem w rozpaczliwem położeniu było zbiegostwo z lubej ojczyzny za granicę... Usługa świadczona w tej mierze przez Polskę nie jest jeszcze należycie uznaną. Wypadki czasów późniejszych odjęły Rosyaninowi możność trzeźwego oceniania istotnego znaczenia wcześniejszych epok historyi polskiej... Cierpienia polskiego „bydła" odwróciły oczy nasze od cierpień włościan rosyjskich. Chłop rosyjski, dezerter, sekciarz, uciekał do Polski nie dlatego, że z tamtej strony granicy panowała wolność, tolerancya, humanizm — pojęcia te były dlań nawet obcemi — lecz uciekał dlatego, że w Polsce żyło się swobodniej, że się tam lżej oddychało..."

Zgoda. Ale, żeby uczciwe to świadectwo miało jakąkolwiek historyczną wagę w danem, konkretnem, dokładnie określonem zagadnieniu, należałoby, dopełniając Korzona, któremu Kraushar swą pracę dedykował, podjąć się ścisłego obliczenia, ile regimentów chłopskich ze strony Rosyi, a ile takichże plutonów ze strony Polski stanęło do bitew: pod Barem i Berdyczowem, pod Polonnem, Żełeńcami i Dubienką, pod Szczekocinami, Chełmem, Maciejowicami i na Pradze?

J. T. Hodi.

PIĘKNO I ESTETYKA.

Czem w istocie swej jest piękno, wiemy tyleż, ile czem w istocie swej jest światło. Znamy zawsze nie istotę rzeczy, lecz ich odcienie i różnice: światło i mroki, albo też kolory i barwy, piękno i brzydotę, a także różne ich odmiany. Kto jednak nie posiada bezpośredniej intuicyi piękna, temu napróżno starać się będziemy wytłomaczyć jego istotę: rozprawiać będzie o niem, jak ślepy o kolorach. Wprawdzie i ślepemu moglibyśmy dać pewne pojęcie niekonkretne, lecz pośrednio i oderwane o świetle i jego odmianach, powiadając, iż jest to drganie eteru o określonej skali szybkości. Nie zrozumiałby jednak nas, gdybyśmy mu tłomaczyli, iż drganiom najsłabszym odpowiada kolor czerwony, silniejszym — pomarańczowy, silniejszym jeszcze — żółty itd. Wiedza ślepego, który ma pojęcie o ruchu, musiałaby pod względem światła zatrzymać się na jednej stronie zjawiska, oderwanej; konkretna nie byłaby dlań w żaden sposób dostępną. Otóż dla nauki obie strony są niezbędne, nie może się ona zadowolić przebiegiem czysto faktycznym, zmysłowym zjawisk, gdyż zaginęłaby w ich powodzi. Należy więc uogólniać, czyli sprowadzać wszystkie zjawiska do wspólnego ich podłoża, do ruchu, energii. Z drugiej jednak strony, żeby nie rozproszyć się w obłokach abstrakcyi, należy wciąż sprawdzać uogólnienia za pomocą faktów konkretnych i typowych, czyli zjawisk.

Tak postępuje fizyka i zupełnie w ten sam sposób może, zdaniem naszem, postępować estetyka. Wszystkie objawy piękna mają za podścielisko wspólne ruch nerwowy osób, które je odczuwają, albo też, o ile chodzi o sztukę, ruch nerwowy i mięśniowy osób, które je w życie wprowadzają. Należy więc odnaleźć związek pomiędzy tymi dwoma szeregami: z jednej strony ruchów obojętnych, z drugiej — wrażeń piękna. Żeby pozostawać na gruncie o ile można realnym, szukaszukamy, które z pomiędzy ruchów wykonywanych przez człowieka i wogóle przez istoty żywe należą do dziedziny estetyki. Doświadczenie bezpośrednie pokazuje, iż należą tu przedewszystkiem czynności i stany duchowe (nerwowe), dążące do zaspokojenia potrzeby płciowej.

W dalszym ciągu rozszerzymy zakres estetyki, tymczasem jednak trzymajmy się mocno tego gruntu, jest on bowiem bezsporny, faktyczny, potwierdzany codziennem doświadczeniem.

W mechanice mamy wciąż do czynienia z tak zwanem „polem sił," któremu w ekonomii odpowiada rynek, tj. zbiór osób współzawodniczących, przyczem współzawodnictwo ich dąży do pewnej równowagi. Wszystkie warunki równowagi ekonomicznej już zostały przez naukę określone w sposób niepozostawiający nic prawie do życzenia. Jeżeli macie „pole sił" ekonomicznych, tj. osób walczących o zysk, to wszystkie warunki wymiany, produkcyi i zaoszczędzania bogactw sprowadzone zostają do ogólnych zasad mechaniki i nabierają takiejże prawidłowości, jak obrót ciał niebieskich.

Idąc niegdyś ulicą wieczorem, pomyślałem: czyby ta metoda nie mogła być zastosowaną także i do estetyki, gdyż ostatecznie myśl nasza domaga się jedności, związku, systemu w swej pracy i ta pstrokatość metod, która obecnie istnieje z jednej strony w naukach przyrodniczych, z drugiej w moralnych i w t. zw.— zlituj się, Boże! — estetyce, sprawia nietylko estetyczne, lecz wprost umysłowe cierpienie. Ale gdzie tu znaleźć — marzyłem w dalszym ciągu — rynek piękna, czyli „pole sił," walczących o piękno, jednem słowem agregat o kształtach mniej więcej trwałych, odnajdujących się w każdej grupie społecznej i któryby automatycznie wytwarzał piękno? Naraz spostrzegłem panię, wystrojoną, okrytą płaszczem i oczywiście dążącą na jakiś wieczór.

Ależ oto mój rynek piękna — błysnęła

mi myśl — jest nim każdy wieczorek, wieczorek, bal, zabawa tańcująca. Mamy tu wszystkie rysy istotnego „pola sił," które w zupełności podchodzi pod gotowe prawa i równania mechaniki. Dla każdej potrzeby społecznej należy przedewszystkiem przedstawić sobie rynek czyli pole walki sił: zbierają się na niem jednostki, zaopatrzone w energię życiową, wyrażającą się natężeniem ich potrzeb i dążącą do jak najlepszego zaspokojenia tych potrzeb. Walka ta automatycznie dąży do równowagi i żeby do niej się zastosować, każda z osób działających musi w pewien sposób, wymagany przez równowagę całego systemu, zmieniać, przekształcać swą energię — tak powstają bogactwa.

Takim rynkiem estetycznym, bez którego sztuka, czyli pewien rodzaj bogactw, nie mogłyby istnieć, są bale, wieczory itd. Stronami współzawodniczącemi oczywiście są nie starzy, którzy ziewają po kątach, drzemią lub grają w karty, lecz młodzież, która walczy o miłość. Pewna część jej energii płciowej, która bezpośredniego zaspokojenia, tuż na miejscu, znaleźć nie może, zamienia się automatycznie na kokieteryę, sidła, ozdoby i środki przyciągania płciowego. Agregat tak walczący, będący w ruchu podczas całego szeregu wieczorów, np. w ciągu zimy, czyli „sezonu," dąży wreszcie do równowagi, z podziałem wszystkich kobiet pośród mężczyzn w sposób ściśle prawidłowy. Żeby ten rezultat mógł być osiągnięty, pewna ilość energii biologicznej osób walczących musi ulodz transformacyi, wydzielić się i wcielić w rzeczach pięknych. Naprzód proces ten może być wykonywany przez same osoby zainteresowane (społeczeństwa pierwotne), później energia tak wydzielona przechodzi do osobnych aparatów rzemieślników i artystów, którzy ją przetwarzają, materyalizują — i tak powstaje i rozwija się sztuka. Objaśnijmy to przykładem. Weźmy grupę hypotetyczną, złożoną z dziesięciu kobiet i dziesięciu mężczyzn, związanych obopólnym i wzajemnym pociągiem płciowym, sympatyą. Ponieważ mężczyzni z jednej strony, a kobiety z drugiej wzajemnie sobie przeszkadzają, więc ogólna równowaga całego systemu wyrazi się stanem „wstydu," „przyzwoitości" i stosunków powierzchownie obojętnych. Ukryta jednak energia żądzy, nie znajdując bezpośredniego wyładowania, wyrazi się w ten sposób, iż dana np. kobieta — jeżeli rzecz odbywa się w czasach pierwotnych, na łące — uszczknie kwiat i włoży go sobie we włosy. Ona w ten sposób chce się podobać wszystkim mężczyznom, a może i jednemu w rzeczywistości. Inaczej mówiąc, energia płciowa, zatamowana ciśnieniem społecznem, znajduje ujście boczne w pięknie, które jest środkiem pośredniego przyciągania. Inna niewiasta w tymże celu użyje grzebienia lub piór itd. To samo czynić będą mężczyzni. W gruncie rzeczy mamy tu jednak tylko zamianę pewnej części energii biologicznej tych osób na pracę potrzebną dla wykonania tych ozdób, zamianę energii możebnej na czynną i nic więcej.

Przedstawmy sobie teraz bal współczesny: odbywa się tu zupełnie to samo, tylko że panowie i panie zebrani zamiast sami sobie przyrządzać odnośne ozdoby, czynić to będą za pośrednictwem innych osob, jak krawców, krawcowych, modystek, którym wyrażają swoje smaki i dają środki dla ich uskutecznienia. Weźmy szereg baterji elektrycznej, w której energia chemiczna zamienia się na prąd, ten ostatni zaś związany jest z aparatem galwanoplastycznym, w którym prąd ten wykonywa rożne prace, a będziemy mieli uprzytomnienie procesu estetycznego. Jest to tylko mniej lub więcej złożona transformacya energii. Połączmy wreszcie dwa powyższe aparaty — bal i pracownię krawiecką, pomiędzy któremi odbywa się wymiana energii — z trzecim aparatem, fotograficznym, który je mniej więcej ściśle odbija, wtedy mieć będziemy sztukę we właściwem tego słowa znaczeniu, powieści, malowidła, poezyi itd. Aparaty ostatniego rodzaju, lepiej zbudowane, głębiej i wszechstronniej odbijać będą procesy, odbywające się w pierwszych dwu, inaczej mowiąc, dawać będą doskonalszą syntezę. Oczywiście jednak, iż ich praca jak najściślej związana jest z procesami, które się odbywają w tych ostatnich, czyli na „rynku piękna" i na „rynku pracy," a mianowicie niemi przemiany i wymiany energii. Otóż wszystkie te procesy już ujęte być mogą w formuły ściśle mechaniki i na tej drodze, zdaniem naszem, estetyka może zdobyć formę naukową, jak ją już zdobyła np. ekonomia.

Pokazaliśmy niedawno, jaki jest cel wszystkich tych procesów *): sztuka odgrywa rolę antropotechniki, w myśl zasadniczego prawa mechaniki, iż wszelkie agregaty, a zatem i społeczne, dążą nietylko do równowagi, ale zarazem do *maximum* energii. Z tego powodu, wbrew socyologom, którzy uważają sztukę i estetykę bodaj czy nie za piąte koło u wozu i odsuwają je gdzieś na poślednie miejsce w szeregu czynników społecznych, wprowadzamy je na jedno z pierwszych miejsc.

Gdy spotykacie człowieka bądź zewnętrznie, bądź wewnętrznie pięknego, możecie być pewni, że natura na cały głos wam woła: „ten powinien się rozmnażać!" Sztuka, jako objaw energii biologicznej, z punktu widzenia mechaniki odgrywa taką rolę, jak i piękno naturalne. Gdyby nie te ostrzeżenia natury — inaczej mowiąc, to automatyczne dążenie agregatów społecznych do *maximum* energii biologicznej — zalew ras niższych, skonstatowany przez antropologię, już oddawna starłby z ziemi wszelkie ślady wyższości rasowej. Kwestya ta wymaga zastrzeżeń i ograniczeń, które odkładamy do innego razu.

Teraz zastanowimy się nad stosunkiem piękna do innych potrzeb ludzkich, ekonomicznych, moralnych, umysłowych itd. Jedno z zasadniczych praw ekonomii matematycznej, które można zresztą wyprowadzić z mechaniki (z równań ruchu Lagrange'a), jest następujące: równowaga w zaspokojeniu potrzeb ekonomicznych jednostki lub społeczeństwa ma miejsce tylko wówczas, gdy napięcie ich **) w stosunku do wydatków jest jednakowe dla wszystkich. Codzienne doświadczenie poucza nas o słuszności tego prawa. Każdy z nas, układając sobie budżet, zmienia jego rozmaite pozycye aż do chwili, gdy wszystkie nasze potrzeby są jednakowo zaspokojone lub niezaspokojone. Prawo to może być roztoczone nietylko na potrzeby ekonomiczne, ale i na wszelkie wogóle bez wyjątku: estetyczne, moralne, umysłowe itd. Istota nasza tylko wówczas jest w równowadze, gdy wszystkie te potrzeby są w równym stopniu zaspokojone. Dopóki to nie nastąpi, energia nasza życiowa ulega ciągłym przemianom: potrzeby ekonomiczne zamieniają się na moralne, te ostatnie na estetyczne i umysłowe lub odwrotnie. Wiadomo np., iż z polepszeniem lub pogorszeniem naszego położenia materyalnego wszystkie nasze poglądy i przekonania etyczne, estetyczne itd. odpowiednio się zmieniają. Wszystko to odbywa się w sposób automatyczny, na zasadzie tegoż samego prawa, na zasadzie którego woda znajdująca się w kilku naczyniach, chociażby równej formy i wielkości, połączonych rurkami, dąży do jednego wspólnego poziomu. Niechaj naczyń tego rodzaju będzie dziesięć, jeżeli w jednem z nich zmniejszycie ilość wody o jeden litr, to nastąpi zaburzenie i szereg wahań, które ustaną dopiero wtedy, gdy, po odpowiedniem zmniejszeniu ilości wody we *wszystkich* naczyniach, stanie ona znowu *wszędzie* na tym samym poziomie. Analogicznemu prawu podlegają przemiany energii życiowej w organizmie ludzkim. Żądać np., żeby człowiek, tracący miejsce i który po 100 rb. miesięcznego dochodu otrzymuje tylko 10, zachował poprzednie swe potrzeby, poglądy i przekonania etyczne, estetyczne, umysłowe itd., jest równie bezmyślnem, jak żądać, żeby woda, po odejściu litra z jednego naczynia, w przykładzie powyższym, pozostała w innych na tym samym, co poprzednio poziomie. Taką jest właśnie zależność energii estetycznej od innych form energii w jednostce i społeczeństwie, ekonomicznej, politycznej, moralnej, umysłowej itd.; wszystkie one stanowią tylko odmiany tej samej energii biologicznej.

Oto czemu każda zmiana, zachodząca w jednej dziedzinie życia bądź jednostki, bądź grupy jednostek, natychmiast odbija się na wszystkich pozostałych dziedzinach ich życia, między innemi na estetycznej.

Weźmy przykład. Zastosowanie mechaniki do socyologii, pozwalające odnaleźć tę samą prawidłowość i prostotę w rozwoju ekonomicznym, moralnym lub estetycznym ludzkości, co w ruchu wozu siana, przejeżdżającego w tej chwili przed mojem oknem, lub w drganiu liścia pod powiewem wiatru — tożsamość praw rządzących wszystkiemi temi zjawiskami — dostarcza mi niewysłowionej rozkoszy, nietylko umysłowej, ale wprost estetycznej. Objaśniam sobie pochodzenie tej ostatniej, w danym razie, w sposób dwojaki. Naprzód wypracowanie odnośnej teoryi wymagało odpowiedniego wysiłku umysłowege. Dla zachowania, a raczej odbudowania równowagi, organizm musi inaczej rozumieć zasoby innych energij, między innemi estetycznej, która w tym ruchu łączy się z umysłową. Otóż każdy z nas znajduje się ciągle w stanie równowagi ruchomej — w ten właśnie sposób można określić życie. Niechaj dziesięć naczyń z powyższego przykładu, różnej objętości, różnych kształtów i różnego zabarwienia, ale połączonych rurkami, uprzytomni nam różne zbiorniki naszej energii życiowej. Przypuśćmy, iż ktoś bez ustanku odlewa wodę z jednych, a dolewa do drugich, tak żeby ona, dążąc wciąż do wspólnego poziomu, nigdy go nie osiągała. Oczywista rzecz, iż zawartość każdego z naczyń jest wciąż w ruchu i miesza się bez ustanku z zawartością innych. Przykład ten uprzytomnia nam z gruba, w jaki sposób energia estetyczna łączy się w nas z energią polityczną, moralną, umysłową lub odwrotnie. Oto czemu każde zjawisko i każdy stan duchowy prawie bez wyjątku mogą być źródłem piękna. Drugi powód, dla którego zastosowanie mechaniki do socyologii dostarcza mi rozkoszy estetycznej, płynie z poczucia jedności. Helmholtz zapytuje w swej „Fizyologii muzyki," czemu pewne tony, zawierające daną ilość drgań, matematycznie określoną, wydają się nam pięknymi, inne zaś — nie i szuka możliwej odpowiedzi w twierdzeniu filozofów, iż pięknem jest odnalezienie w wszechświecie praw naszego umysłu. Ja bym powiedział wprost odwrotnie. Wszechświat jest starszy od nas. Układ słoneczny w swym rozwoju silniej wpływa na nas, niż my na niego. Jesteśmy w końcu tylko atomami, podległymi ogólnym prawom ciążenia. A ponieważ w układzie wszystko jest związane, każda zmiana zachodząca w wszechświecie, również jak i całość tych zmian, objęta imieniem

*) Por. *Prawda* nr. 35 z r. b.

**) Ściślej: napięcie potrzeb ostatnio zaspokojonych.

praw, odbija się we wszystkich atomach materyi ożywionej lub nieożywionej. Nasze poczucie piękna dowodzi więc tylko, że jesteśmy w zgodności z przebiegiem rzeczy naturalnych, drzew i wiatrów, obłoków i morza. Jak z jednej strony szukaliśmy źródeł piękna w ciążeniu biologicznem, w pociągu płciowym, tak z drugiej musimy ich szukać w ciążeniu kosmicznem. Prawa piękna są jednakie z prawami ciążenia powszechnego. Wykazuje to dobitnie mechanika społeczna, zastosowując też samo równaina ruchu do wszystkich objawów życia duchowego, jak i do wszystkich objawów energii kosmicznej.

Zdaniem naszem, estetyka może uwolnić się od pustych i dowolnych definicyj, na które Tołstoj między innemi tak słusznie się użala, tylko wstępując na drogę, wskazaną przez ekonomię polityczną czystą, tj. stosując do odnośnej dziedziny zjawisk zasady mechaniki.

Dr. L. Winiarski.

POEZYE

BURZA GÓRSKA.

Hej nocą, nocą, lipcową nocą
Złote ostrogi w świetle migocą —
Sto pysków końskich uzdy wypręża,
Sto iskier ciska kuta paweża,
Sto kit liliowych snopem wykwita,
Sto koni tłocze w srebrne kopyta.

Nad nimi chmury miedzianolice,
W karki się wpiły drżące orlice,
Pioruny dławią chrapiące gardła,
Mgła się nad niemi stepem rozparła,
Gromy gruchocą brzękiem łańcucha,
Żar wężowiskiem z paszczy wybucha.

Jaśniej a krwawiej! Ludniej a ludniej!
Pod kopytami opoka dudni.
Przez wielkie łąki, przez skalne błonie
Mkną rozhukane, szalone konie —
Ziemia się czarna krwi skrzepem plami.
Gdzież wy, rycerze? My tu za wami!

Nozdrza im dyszą żądzą szaleńczą,
Duchy pokoleń w piersi im jęczą —
Pyski im zioną mgłą i zawieją,
Otumanione ślepia krwawieją,
Szał im wydyma nabrzmiałe szyje—
Na koń, rycerze! Godzina bije!

A ich czaprakiem mgły welon szary,
A czarne chmury, to ich sztandary,
A uździenicą — ten tuman biały,
A te poświsty — to ich hejnały,
A gromów ryki — to ich moździerze:
Bije godzina! Na bój, rycerze!

Lecą. Czasami trącą kopyty
Stężałe, śpiące piersi granity,
Czasami skrzydłem gryf krwistodzióby
Muśnie rycerzom skalne kadłuby —
Orgia płomieni, ryków nad ziemią!—
A oni dalej drzemią a drzemią.

Szalone konie mkną coraz dalej,
Coraz to ciszej łuna się pali,
Coraz to bledsza nieba kopuła,
Coraz to srebrniej mgła się rozsnuła,
Coraz to głębsze olbrzymów spanie.
Nie wstanie armia! Nie zmartwych-
[wstanie!

Jeszcze się łuny pożarne żarzą...
Świt już bieleje zamgloną twarzą.
Orkan się jeszcze zrywa i wichrzy,
Ale już ciszej, ciszej i ciszej...
Śpi zbrojny zastęp nieobudzony —
Armia kamienna — trupie legiony!..

Władysław Sterling.

Zakopane.

W DALI.

Wilno. Korespondent *Słowa* zebrał wiadomości o nowych liniach kolejowych, które wkrótce mają przeciąć dość znaczne obszary kraju. Obejmą one dużą przestrzeń, dotąd usuniętą od ruchu kolejowego, lub połączą bezpośrednio niektóre punkty. W ostatnim wypadku niemałe znaczenie dla handlu mieć będzie projektowana linia Wilno-Ryga, której dworzec ma stanąć w Wilnie na przedmieściu zwanem Wilcza-Łapa, gdzie również powstanie centralny szpital kolejowy dla którego punkt węzłowy, jakim jest Wilno, stanowi najodpowiedniejsze miejsce. Z chwilą gdy wieść o budowie tej drogi rozniosła się, mało cenione dotąd grunty w okolicy Wilczej-Łapy gwałtownie zaczęły podnosić swą wartość, rosnąc w cenę niemal z dniem każdym. Linia powyższa miała posuwać się przez Wiłkomierz, Poniewież, i tak dalej, lecz, zdaje się, iż pierwotny projekt uległ pewnym zmianom. W każdym razie odnoga tej linii ma połączyć Wiłkomierz z Kownem. Na przyszłą wiosnę rozpocznie się budowa kolei Grodno-Bereza przez Wołkowysk. Kierownictwo robót ma objąć inżenier Beer. Towarzystwo dróg podjazdowych spieszy z wykończeniem wązkotorowej linii, łączącej Święciany (gub. Wileńskiej) z Poniewieżem (gub. Kowieńskiej), a projektuje przystąpić, do budowy bocznicy pomiędzy Poniewieżem a Windawą. Już od kilku tygodni inżenier Waniarski czyni poszukiwania w tym celu. Linia ta od stacyi Benen, kolei Mitawskiej, ma iść przez Zagory, Janiczki, Linków, Johaniszkiele, Poszołaty do Poniewicza. Inna znów ma się przedłużyć z m. Głębokiego w pow. Dziśnieńskim, gub. Wileńskiej, do Orszy w gub. Mohylewskiej. W projektach Towarzystwa pominięto powiatową Dzisnę, pomimo że dociągnięcie linii do tego handlowego miasta, podniosłoby znacznie ruch na linii, idącej od stacyi Święcianki do Głębokiego.

Kijów. *Kijewlanin* donosi, iż pierwsze Towarzystwo kolei podjazdowych w Rosyi prowadzi obecnie studya następujących wązkotorówek w gubernii Podolskiej: od miasta Jampola przez Majówkę (cukrownia), Tomaszpol, Tulczyn i Bracław do Sitkowiec. Od Sitkowiec linia rozgałęzia się w dwóch kierunkach; jedna prowadzi przez Hajsyn, Sobolówkę, Krasnosiółkę i Hajworon, gdzie łączy się z koleją Berszadzko-Uścińską, druga przez Niemirów, Woronowice, Kalinówkę (punkt spotkania dalszego ciągu Berdyczowsko-Żytomierskiej) i dalej przez Chmielnik do Starej Siniawy. W gubernii Kijowskiej dokonywane są studya linii od Białej Cerkwi przez Jeziornę, Stawiszcze, Olchowiec i Bużankę do Zwinogródka. Co do utworzenia kapitału budowlanego, koniecznego dla zorganizowania projektowanych linij, Towarzystwo prowadzi rokowania z fabrykantami cukru i większymi właścicielami ziemskimi, najwięcej zainteresowanymi w budowie dróg przez wymienione punkty. Niektórzy z obywateli, jak np. hr. W. Branicki i hr. A. Potocki, zgodzili się już wziąć udział w utworzeniu kapitału budowlanego, a jeżeli przyłączą się również do tego projektu i inni właściciele i fabrykanci cukru, to w przyszłym roku rozpocznie się budowa projektowanych kolei podjazdowych. Po ich wykończeniu w guberniach południowo-zachodnich długość wszystkich kolei podjazdowych wyniesie więcej, niż 1,200 wiorst. — Kilku właścicieli ziemskich z gub. Podolskiej, jak donosi *Kijewlanin,* przy udziale jednego z kapitalistów warszawskich, zakłada towarzystwo akcyjne, celem rozszerzenia działalności istniejącej w Zmierzynce fabryki maszyn rolniczych. Dotychczas fabryka ta zajmowała się przeważnie naprawą różnych maszyn i narzędzi rolniczych, obecnie zaś po przebudowaniu i rozszerzeniu wyrabiać będzie szczególnie maszyny i narzędzia do uprawy buraków cukrowych. Kapitał zakładowy wynosi 150,000 rub. — W rządzie gubernialnym kijowskim odbyła się sprzedaż publiczna przez licytacyę miasta Berdyczowa, należącego do hrabiny Tyszkiewiczowej, oraz do kupców Jenny i mieszczan honorowych Rukawisznikowów. Na pierwszej licytacyi wystąpili: Sapożnikow, Mamontow i Rukawisznikow. Część majątku wraz z miastem Berdyczowem kupili Rukawisznikowie za 296,000 rubli. Przy drugim przetargu przystąpił do konkurencyi fabrykant cukru Epstein, który ofiarował 1,160,000 rubli. Rukawisznikowie dołożyli 1,000 rub. i majątek nabyli. — Zeszyt sierpniowy *Żurnala* ministeryum oświaty zamieścił przepisy dotyczące stypendyum imienia Leonarda Jankowskiego w uniwersytecie kijowskim. Kapitał stypendyalny w sumie 7,000 rb. zapisodawca ofiarował w 50-tą rocznicę ukończenia wszechnicy w Kijowie. § 4 przepisów głosi: „Stypendystami imienia Leonarda Jankowskiego mogą być jedynie studenci uniwersytetu św. Włodzimierza, z pochodzenia Polacy, wyznania rzymsko-katolickiego, (bez różnicy stanów), sprawowania wzorowego i wykazujący postępy w naukach, wybierani przez założyciela stypendyów lub jego następcy i zatwierdzani przez p. kuratora okręgu.“

KRONIKA.

Język polski. Na wiosnę r. b. utworzono komisyę w celu opracowania nowego programu nauki języka polskiego w szkołach średnich, rządowych i prywatnych. Pracę tę polecono następującym członkom komisyi: Ułożenie programu dla czterech klas niższych szkół filologicznych rządowych w zakresie gramatyki nauczycielowi Edmundowi Łapińskiemu; dla 4 klas wyższych szkół rządowych filologicznych w zakresie literatury profesorowi Teodorowi Wierzbowskiemu i dla 4 klas niższych szkół realnych rządowych, tudzież zakładów naukowych prywatnych nauczycielowi Michałowi Rowińskiemu. Program ma być zastosowany do następującej liczby lekcyj: We wszystkich klasach gimnazyów filologicznych na naukę języka polskiego przeznaczy się 19 godzin tygodniowo, czyli po 3 godziny w klasie przygotowawczej (dotąd były 2 godz.) i po 2 godziny w pozostałych 8 klasach; we wszystkich klasach szkół realnych będzie 18 godzin do nauczania języka polskiego, a mianowicie po 3 godziny w klasie przygotowawczej i pierwszej, po dwie w pozostałych, nie wyłączając kl. 6 i 7-ej, gdzie dotychczas na wykład języka polskiego przeznaczano godzinę. Ponieważ wykład tego języka w szkołach średnich ma się odbywać po rosyjsku, a istniejące w tym względzie podręczniki okazały się niedostateczny-mi, poruszono potrzebę opracowania nowego. Podobno — jak zapewnia *Kuryer Warsz.*, z którego te wiadomości czerpiemy — nauczyciel języka rosyjskiego w IV gimnazyum męzkiem, p. B. Szymanowski, powziął zamiar napisania gramatyki polskiej po rosyjsku w zakresie nowego programu. Komisya dopiero teraz rozpocznie właściwą pracę swoją, tj. rozpatrzenie projektów programu, którego oczywiście z początkiem bieżącego roku szkolnego nie można już wprowadzić w życie.

Szkoły. O przyjęcie do politechniki kijowskiej złożono 949 próśb.

Zdrowie publiczne. W Wawrze powstaje zakład leczniczy dla chorych na nerwy. Otworzy go jeden z lekarzy warszawskich, posiadający już podobny zakład w mieście. Nowa instytucya powstanie na przestrzeni czterech morgów lasu, odkupionego niedawno od zarządu dóbr wilanowskich z pasma lasu, przylegającego do stacyi kolejowej. W ten sposób zakład leczniczy będzie się znajdował w bardzo bliskiem sąsiedztwie ze stacyą, a przy pomocy rur otrzymywać ma wodę do kąpieli i hydropatyi ze źródeł gocławskich. *(Słowo).*

Przemysł i handel. Warszawskie Towarzystwo ogrodnicze urządza w Bagateli jarmark na owoce, który potrwa od 10 do 20 października.

— Nowa instytucya, warszawski „Związek roboczy,“ odbył posiedzenie, na którem zdano sprawę z dotychczasowej działalności. Wszelkie zabiegi około umieszczenia członków na posadach nie przyniosły pomyślnych rezultatów, gdyż pomimo ogłoszeń w pismach i rozesłania *kilku tysięcy* cyrkularzów do różnych firm handlowych, zapotrzebowania pracowników były nieznaczne. Wobec tak niepomyślnego wyniku, zarząd zwrócił swą działalność w innym kierunku, tj. rozwinął operacye towarowe i przewozowe, dzięki czemu zdołał zawiązać sto-

sunki i otrzymać wiele ofert korzystnych od firm poważnych. Na porządku dziennym było kilka wniosków, z których zatwierdzono następujący: upoważnić zarząd do podniesienia z kapitału związku, umieszczonego w Banku handlowym, 15,000 rb. na wypłatę robotników i wydatki przy dokonywaniu na kolejach robót towarowych, o których ut zymanie zarząd porobił odpowiednie starania.

— Dyrektor departamentu handlu i przemysłu, p. Kowalewski, wyjechał do Charkowa na zjazd zarządzających izbami skarbowemi, zwołany w sprawie wprowadzenia nowego podatku przemysłowego. Następnie p. Kowalewski pojedzie do Kijowa na otwarcie politechniki, a stamtąd do Warszawy i Łodzi w sprawie udziału fabrykantów miejscowych w paryskiej wystawie wszechświatowej. Do tych ostatnich miast wyjeżdża także komisarz generalny wystawy, ks. Teniszew.

Wystawy i zjazdy. W Kielcach odbyła się wystawa przemysłowo-rolnicza.

Zmarli Robert Zimmermann, pisarz niemiecki, b. profesor uniwersytetu w Wiedniu, zmarł w Pradze czeskiej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Niepodpisanej czytelniczce. Gdybyśmy chcieli zbierać wszystkie brednie dziennikarskie, pismo nasze zamieniłoby się na kosz śmieci.

X. X. 1) Przyczyn wszelakich; 2) choroby nazwane imionami tych, którzy je odkryli lub zbadali. 3) Nie żyje.

Czytelnikowi. Ma Pan słuszność, że p. Skrzynecki musiał dużo nabroić w prasie, skoro nawet spokojny, do zaczepek i walk niepochopny *Tygodnik Ilustrowany*, uznał za stosowne ująć — miotłę. Wszakże w wypadkach tego rodzaju nie chodzi o to, ażeby wszyscy przyłożyli do niej ręce, lecz ażeby ktoś dobrze jej użył. Jeżeli ów pan, który z reportera przedzierzgnął się w powieściopisarza i awansowany został na redaktora, przywłaszczył sobie i stotnie cudzy utwór, który podznaczył swoim pseudonimem i pobrał zań honoraryum i jeżeli z tego wawrzynu trzy pisma uwiły dla niego rózgę — to wystarcza i uwalnia nas od obowiązku uczestniczenia w egzekucyi. Wogóle *Prawda*, o ile tylko może, unika zajmowania się bakteryologią literatury nawet wtedy, kiedy żyjątko Ignotus-Werytus-Skrzynecki zrodziło podobno kiedyś jakiś na nas paszkwil. Czasu nam braknie na myślenie o istotach i rzeczach nieskończenie wielkich, a skąd go wziąć dla nieskończenie małych!

OFIARY.

— W dniu rocznicy śmierci ś. p. Ojca mego składamy 3 ruble na Kolonie letnie.

A. A. L.

Wydrancka.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 28 Августа 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.